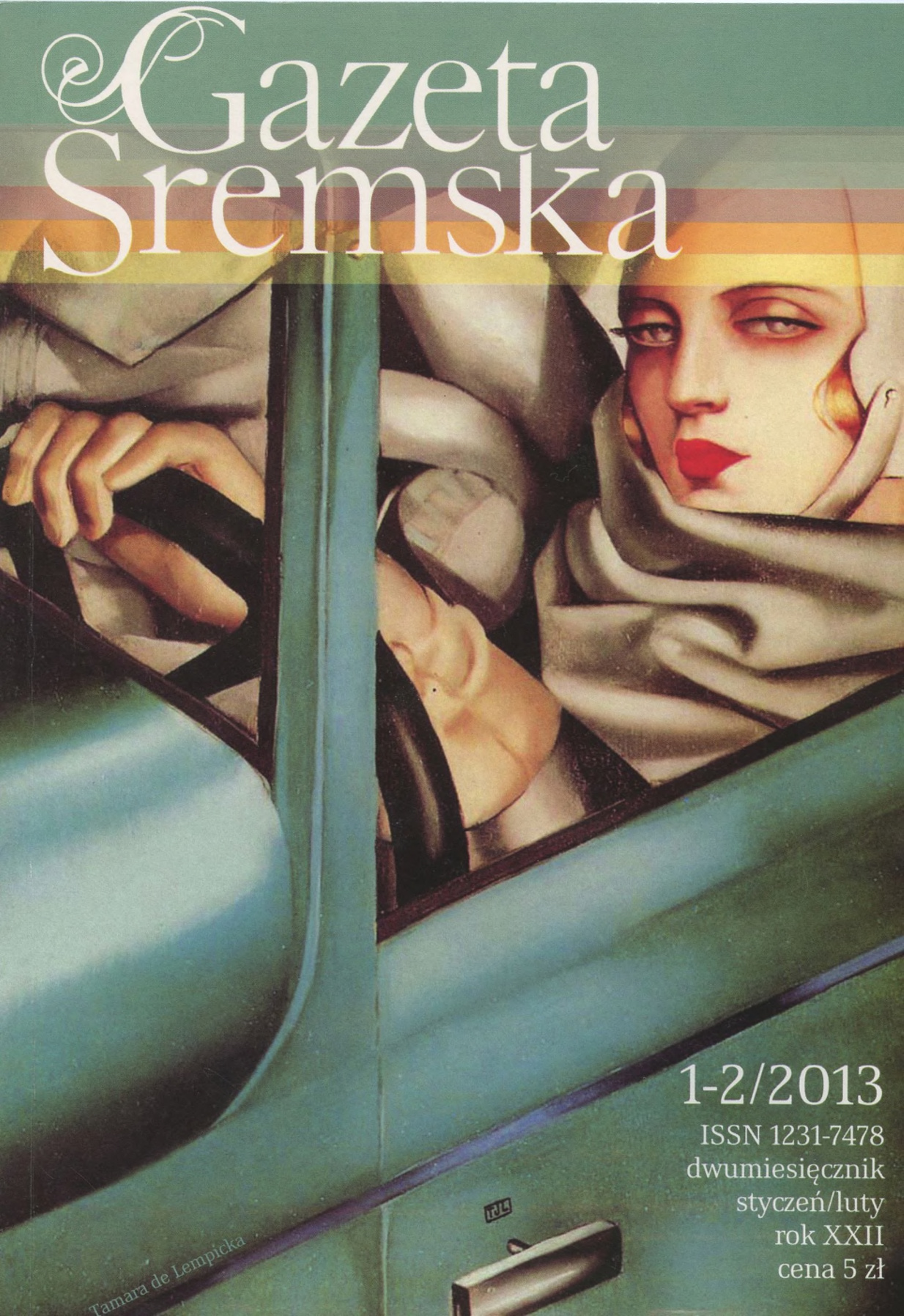


Gazeta Sremska



1-2/2013

ISSN 1231-7478

dwumiesięcznik

styczeń/luty

rok XXII

cena 5 zł

Tamara de Lempicka



Patrycja
Wyciszkiewicz

ŚREMSKIE
ŻYRAFY 2012



Paweł
Pieprzyk



Zespół
The Merss



Rapid Śrem



Człowiek o siedmiu twarzach

Był rzadkim ptakiem w naszym pokoleniu. Dżentelmenem w każdym calu. Od niego można było nauczyć się elegancji, co dla nas wychowanych w czasach chamstwa i brutalności, miało niezwykłą wartość.

str. 6



Wojskowe znaki tożsamości

Nieśmiertelnik. Kwitnie od lipca do października, pochodzi z Australii. Wszyscy go znamy. Dla mnie nieśmiertelnik to jeden z elementów wyposażenia żołnierskiego będącego w użyciu od ponad 150 lat. Znany również jako identyfikator lub znak tożsamości.

str. 10



Kim jesteście Bambrzy z Poznania?

Pytanie to, po prawie 300 latach obecności Bambrów w Poznaniu, Wielkopolsce i gdzie tylko zawirowania losu ich rzuciły, jest wciąż aktualne.

str. 26

Spis treści

str. 03 444 słowa redaktora naczelnego

str. 04 Historyczna zapaść

str. 06 Człowiek o siedmiu twarzach

str. 08 I ty jesteś jednym z nich

str. 10 Wojskowe znaki tożsamości

str. 13 Powstańcy wlkp. ze Śremu i okolic
w zbiorowych dołach NKWD w 1940 r.

str. 07 Wieści z ratusza

str. 21 Kilka nowych faktów z życia i działalności
dr. Seweryna Matuszewskiego (1879-1939)

str. 24 Przybyszewski – Meteory Młodej Polski

str. 26 Kim jesteście Bambrzy z Poznania ?

str. 30 Czas rozrywki

str. 33 Niedziela z kompozytorem

str. 34 Wywiad z Kilaromaniakiem...

str. 36 Komu jeszcze tak się chce?

str. 38 Powroty i przywiązania

str. 40 Okruchy dnia czyli proza życia

str. 42 Holy Motors

str. 45 O słynnych malarkach...

str. 50 Muzeum – wydarzenia

str. 52 Z myślą o 8 marca

str. 53 Okiem belfra – Cyberswiat

str. 54 ŚOK – wydarzenia

str. 56 Działalność wydawnicza

Biblioteki Publicznej w Śremie

str. 58 Biblioteka – wydarzenia



Gimnazjalista Paweł Wolniewicz

444 słowa redaktora naczelnego

Wielu z nas Polaków z lubością wybiera fetowanie nieszczęścia i klęski zamiast świętować radośnie i z rozmachem powodzenie oraz zwycięstwo. Ale chwała zwyciężonych jest w większej cenie niż nieokupiony krwią triumf, który przechodzi nieuchronnie w codzienność. Lubimy martwych bohaterów, gdyż możemy spotykać się przy ich mogiłach kolportując legendę, coraz bardziej romantyczną i pomnikową. Rocznic znaczących wydarzeń w historii Polski nie brakuje. Oprócz zwycięskich bitew pod Grunwaldem i Wiedniem mamy jeszcze wiele sukcesów, nie tylko militarnych. Jednak najważniejsze w edukacyjnej praktyce są powstania narodowe, niestety w większości przegrane. Cóż z tego, przecież można dosadnie powiedzieć, że powstania nie są po to, żeby je wygrywać. Czyny zbrojne o narodowo-wyzwoleńczym charakterze są ostateczną formą protestu społecznego, mają dowodzić światu o istnieniu zniewolonego narodu gotowego do wolności. Mają budzić jak... wrzask! Takie postawienie celu powstania tamuje krwawe czasami spory o sens poszczególnych zrywów i rachunek poniesionych ofiar. Ale osiągnięcie zarówno celu propagandowego jak i militarnego było możliwe również w polskiej historii. Kilka powstań zakończyło się zwycięsko, nie były to jednak powstania „z głównego nurtu”. Najdonioślejsze następstwa dla całej Polski przyniosło POWSTANIE WIELKOPOLSKIE 1918-1919. Rozpoczęło się 27 grudnia 1918 roku w Poznaniu, a zakończone zostało podpisaniem rozejmu w Trewirze 16 lutego roku 1919. Przyniosło włączenie niemal całej Wielkopolski w granice odradzającej się po I wojnie światowej Rzeczypospolitej Polskiej. W tych zrywach powstańczych mają swój udział również śremianie. Trwałym świadectwem tych wydarzeń historycznych są liczne „znaki pamięci” na „ziemi śremskiej”. W uznaniu zasług powstańczego

zrywu, na terenie Śremu w dniu 27 grudnia świętujemy, wspominając postaci powstańców i oddając należny im hołd. Corocznie kulminacyjnym akcentem obchodów jest uhonorowanie wyczynu harcerzy z drużyny im. Tadeusza Rejtana w Śremie. 30 grudnia 1918r. garstka zapaleńców postanowiła zawiesić polską flagę w opanowanym jeszcze przez Niemców Śremie. To ryzykowne działanie zakończyło się pełnym sukcesem i na szczycie wieży ciśnień załopotala polska flaga. Wydarzenie to upamiętnia tablica z nazwiskami 6 bohaterskich harcerzy, którzy tego patriotycznego aktu dokonali. Coroczne uroczystości pod wieżą ciśnień kończy symboliczne wywieszenie biało-czerwonej flagi. Bohaterskie czyny Powstańców Wielkopolskich są zapewne przedmiotem wspomnień i rozmów w Państwa domach, gdzie tradycje niepodległościowe mają szczególnie wartościowy, bo rodzinny charakter.

Kultywowanie pamięci o zwycięskim powstaniu i popularyzowanie wśród młodego pokolenia wartości, którym wierni byli powstańcy wielkopolscy, to cel nadrzędny. Udział w uroczystościach stwarza młodzieży niepowtarzalną możliwość bezpośredniego kontaktu z pamięcią o bohaterskich postawach i czynach. Dba się w ten sposób o to, by młodzi ludzie otrzymywali dobre wzorce. Pozytywnym przykładem niech będzie gimnazjalista pasjonujący się tematyką powstania, który w aktywny sposób włączył się w tegoroczne uroczystości.

Powstanie Wielkopolskie odczytywane niegdyś i traktowane jako epizod dziejowy, czy lokalny ruch wolnościowy, doczekało się oceny i uznania na miarę rzeczywistej jego roli i wartości historycznej. Stało się dumą narodu i chlubą Rzeczypospolitej.

Mariusz KONDZIELA

Historyczna zapaść

Ileż to młodych ludzi marzy dzisiaj o tym, aby wyrwać się ze swojego miejsca urodzenia, aby stać się prawdziwymi obywatelami świata. Wyjeżdżają więc w nadziei zyskania uniwersalnej wiedzy, jakiejś wyimaginowanej globalnej tożsamości, która pozwoliłaby im żyć wymarzonym życiem. Nie wiedzą tylko o jednym, że nowe miejsca bytowania wcale im tego nie muszą zapewnić, a prędzej czy później i tak będą tęsknić do tego, co tkwi gdzieś głęboko w każdym z nas. To ukryta miłość do czasów dzieciństwa, to szybsze bicie serca, na samą myśl o tym, że kiedyś było inaczej, spokojniej i to nie znaczy, że gorzej. Problemem może być jednak coś innego... Czy będą mieli jeszcze do czego wracać, gdyby się nagle zdecydowali na taki krok?...

Niestety, przyszło nam żyć w dość dziwnych czasach, kiedy to liczy się wszystko, oprócz wartości, kształtowanych latami przez pokolenia naszych dziadków i ojców. Nie znamy i nie pamiętamy historii, a w zasadzie nie chcemy o niej pamiętać. Żyjemy tym, co teraz, całkowicie zapominając o tym, co było dawniej. Nowoczesność i postęp zabija w nas elementarne odruchy człowieczeństwa. Przestaliśmy zupełnie rozumieć podstawowe zagadnienia z filozofii życia, także i te, że roślina bez korzeni umiera. Jakoś tak zbyt łatwo pozbawiamy się historii i skazujemy się na nieuchronną śmierć.

Coraz częściej się zdarza, że za normę nowoczesności uważamy posiadanie kolejnego, własnego telefonu komórkowego, laptopa czy samochodu spalającego mniej niż cztery litry paliwa na sto kilometrów.

Przestaliśmy w ogóle czytać. Według ostatnich badań przeprowadzonych na zlecenie Biblioteki

Narodowej wynika, że w 2012 roku czytanie książek zadeklarowało zaledwie 38 procent badanych Polaków. To najniższy wskaźnik czytelnictwa zanotowany w historii. A więc już 62 procent Polaków nie miało w ciągu ostatniego roku kontaktu z żadną książką. Tendencja ta utrzymuje się od początku lat dziewięćdziesiątych i nic nie wskazuje na to, żeby mogła się zmienić. Niestety, badania te wykazują, że tradycyjna książka zaczyna powoli odchodzić do lamusa. Tylko do czego to doprowadzi? Mówienie, często przez ludzi wpływowych, – o zwiększeniu czytelnictwa książek w Internecie to istne brednie. Zresztą, jaki poziom reprezentują ludzie wyedukowani na Internecie mogą śledzić niemal codziennie odbierając dziesiątki listów, które przychodzą do mnie pocztą elektroniczną. To po prostu poraża...

Zamiast czytać, uczestniczyć w kulturze wysokiego pułapu, korzystamy z tzw. supermarketów kultury, gdzie wybiera się tylko te elementy, które zaspokajają najbardziej prymitywne potrzeby i odruchy człowieka. Trzeba wiedzieć, że bez solidnej i mocnej emocjonalnie bazy kulturowej, bez wiedzy o naszych tradycjach, kulturze i historii, nie będziemy mieli możliwości budowania nowych elementów, nowej kultury. Bo to właśnie z historii wyrasta nasza tożsamość, a w konsekwencji pamięć o tej tożsamości. Zapominając o niej nigdy nie będziemy „obywatelami świata”, o czym tak bardzo marzymy.

Niestety, nie pomagają nam w tym również czynniki państwowe i tego państwa przedstawiciele, zajęci coraz bardziej czubkiem własnego nosa. Nikt nie pracuje nad ustawami, które należycie zabezpieczałyby interes narodowy

w dziedzinie ochrony dóbr kulturalnych i historycznych. Zamiast tego, mamy kolejne nieprawdopodobnie nietrafione ustawy o polskim szkolnictwie (a w zasadzie szkodnictwie oświatowym), gdzie zamiast zwiększać liczbę godzin historii, marginalizuje się ją do granic śmieszności.

Coraz częściej zastanawiam się, dlaczego polskim władzom nie zależy na pielęgnowaniu polskiej tradycji historycznej i kto tak naprawdę nami rządzi? I to nie tylko w tym ostatnim okresie, ale od 1990 roku.

Nie tak dawno głośno było o Bibliotece i Muzeum Polskim w Rapperswilu (Szwajcaria), gdzie miejscowe władze dążą do przejęcia tego jakże ważnego dla historii naszego kraju miejsca. Co robią polskie władze w tej sprawie? Nic!

Ostatnio wiele się mówi o słynnym paryskim Hotelu Lambert, dawnej siedzibie książąt Czartoryskich. Ten zabytek polskiej historii znalazł się w rękach katarskiego emira, który zamierza zrobić z niego ekskluzywny hotel, całkowicie go przebudowywując, nie dbając o jego zabytkowy charakter i o to, jak ważne było to miejsce dla historii naszego narodu. Gdyby kolejnym polskim rządowi zależało na wizerunku Polski w świecie, pałacyk, w którym bywali Chopin, Mickiewicz, Słowacki i Norwid, byłby już dawno własnością Rzeczypospolitej. Jednak nikomu nie zależało na tym, aby go odkupić od barona Rotschilda.

A przecież Muzeum w Rapperswilu czy Hotel Lambert nie są wyjątkami. Materialne ślady po wielkich Polakach rozsiane po całej Europie znikają w zastraszającym tempie. Na przykład w Stambule znajduje się muzeum Mickiewicza, urządzone w domu, w którym wieszcz dokonał żywota. Co się z nim stało? Budynek został kupiony i odremontowany przez rząd Turcji dla własnych potrzeb. Nikt w Polsce nawet się tym nie zainteresował.

W 1988 roku pewien urodzony w Polsce amerykański kolekcjoner poloników, przekazał do kraju, do Wspólnoty Polskiej, za pośrednictwem konsulatu w Chicago, zbiór ponad trzystu paczek oryginalnych dokumentów. Wśród nich

były takie rarytasy, jak korespondencja Józefa Piłsudskiego, Ignacego J. Paderewskiego i Wojciecha Korfańtego. Nagrania koncertów Paderewskiego z USA, nagrania spektakli polskich teatrów w Chicago, przedwojenna kopia filmu „Quo Vadis” czy dokumentacja dotycząca wielkiej polskiej aktorki, Heleny Modrzejewskiej. Co się z nimi stało? Po prostu zniknęły! Nikt we Wspólnocie Polskiej nie wie, gdzie się podziały. Podobno część nawet została spalona na polecenie jednego z szefów Ośrodka Dokumentacji Wychodźstwa Polskiego w Pułsku... A więc osoba wyznaczona do prawnej ochrony tych dóbr niszczy je. Czyż to nie paradoks?

Zastanawiam się, ile jeszcze takich zabytków kultury duchowej narodu musimy stracić, żeby Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego obudziło się z letargu, w którym trwa od lat? Czy może jeszcze kogoś dziwić, że np. Fryderyk Chopin nawet melomanom bardziej kojarzy się z Francją niż z Polską, jeśli nie potrafimy zadbać o dobra naszej kultury... Później dziwimy się, że kolejne pokolenia Polaków marzą o emigracji, o lepszym świecie, i o lepszym życiu. Dobrobyt, to ważna rzecz w egzystencji, ale czy najważniejsza? Niestety, w dalszym ciągu nie robimy nic, aby tę mentalną przypadłość Polaków zmienić. Nie dopuścimy do tego, abyśmy stali się narodem bez historii, bez własnej tożsamości, bez własnego miejsca na mapie świata. A najbardziej tragiczne jest to, że ci, którzy do tego są powołani, zamiast promować historię, dążą do kompletnego jej wyniszczenia.

Człowiek powinien dążyć do osiągnięcia mądrości i poznania prawdy, bo tylko wtedy nasze życie jest prawdziwe i nabiera sensu. Można wykazać wyższość życia intelektualnego nad innymi jego formami, mądrość jest największym spośród dóbr i celem życia. Rozum jest najlepszą częścią nas samych, a najwyższą jego funkcją jest osiąganie prawdy. Niestety, tego ostatniego najwyraźniej nam w ostatnim czasie brakuje... I to bardzo...

Andrzej DĘBKOWSKI

Człowiek o siedmiu twarzach

Warto przypomnieć

By dobrze odebrać dzieła Szekspira należy sięgnąć po super tłumaczenia. Zapewne do mistrzów tej sztuki należał Stanisław Barańczak, jak również znakomity Jerzy Stanisław Sito, który był wielkim znawcą teatru elżbietańskiego. Ernest Bryll pisał, że Sito był jednym z najważniejszych polskich poetów. - Jako poeta, podobnie jak w codziennym życiu, był elegancki i powściągliwy. Może mniej płodny niż poeci naszej grupy, mniej atakujący, ale jego poezja na pewno była mi blisko. Podkreślał, że Sito był także znakomitym tłumaczem dzieł Szekspira. Z powodzeniem tłumaczył także angielską poezję, przybliżał ją nam, a popularność tych przekładów chyba lekko przyćmiła jego znaczenie jako poety - zauważył Bryll.

O śmierci Jerzego Stanisława Sito poinformował jego syn, Paweł. Zmarł we wtorek nad ranem 7 stycznia 2011 roku w warszawskim szpitalu, w wieku 77 lat.

Gazeta Wyborcza przedstawia biografię Jerzego Stanisława Sito ze wskazaniem jego drogi emigracyjnej, literackiej, czy działalności teatralnej. Urodził się 8 listopada 1934 r. w Pińsku na Polesiu. Po wybuchu drugiej wojny światowej i wkroczeniu Armii Czerwonej na Polesie, jego ojciec został aresztowany (zginął w 1940 r. Starobielsku), a rodzina wywieziona w głąb Rosji. Do 1942 r. przebywał w Kazachstanie, w latach 1942-1948 w Indiach, od 1948 r. w Wielkiej Brytanii. W Londynie ukończył szkołę średnią i studia techniczne w zakresie inżynierii konstrukcyjnej. Pracował następnie w biurze projektowym na stanowisku młodszego inżyniera. Debiutował w 1954 roku

wierszem *Odloty* zamieszczonym w wychodzącym w Londynie miesięczniku *Życie Akademickie*. Należał do londyńskiej grupy poetyckiej *Kontynent*. Współpracował także z prasą krajową, m.in. w 1956 r. opublikował fragmenty poematu *Człowiek o siedmiu twarzach* na łamach tygodnika *Po Prostu*.

Z emigracji powrócił do kraju w 1959 roku i zamieszkał w Warszawie. Od 1960 roku był członkiem zespołu redakcyjnego dwutygodnika *Współczesność*. Początkowo jako kierownik działu zagranicznego, a następnie poetyckiego i teatralnego. Zaczął w tym czasie pisać utwory dramatyczne; zajął się także pracą przekładową z języka angielskiego. W latach 1961-63 współpracował jako recenzent teatralny z tygodnikiem *Polityka*. W 1964 r. za twórczość poetycką otrzymał w Londynie nagrodę im. Zofii Polkowskiej-Szkaradzińskiej w konkursie zorganizowanym przez pismo „Kontynenty-Nowy Merkuriusz”. Od 1963 do 1989 roku pracował, jako kierownik literacki teatrów: im. S. Żeromskiego w Kielcach, Klasycznego, Powszechnego, Narodowego i Ateneum w Warszawie.

W latach 1976-1986 wyjeżdżał kilkakrotnie z wykładami na uniwersytety amerykańskie i kanadyjskie. W 1967 r. został członkiem Polskiego PEN Clubu. W 1968 r. za przekłady z języka angielskiego otrzymał nagrodę Roju im M. Kistera. Pełnił liczne funkcje w Związku Literatów Polskich; w latach 1974-1983 był wiceprezesem Klubu Dramatopisarzy Polskich. W 1977 r. otrzymał nagrodę im. W. Pietrzaka, rok później nagrodę Polskiego PEN Clubu za

przekłady poezji angielskiej. W 1976 r. podpisał „Memoriał 101” wyrażający protest przeciw projektowanym zmianom w konstytucji PRL. W latach 80. działał w opozycji demokratycznej. Był członkiem Międzynarodowego Instytutu Teatralnego (ITI), w latach 1979-1981 był wiceprezesem, a w 1981-1985 prezesem Międzynarodowego Komitetu Dramatopisarzy ITI. W latach 1990 do 1991 był prezesem Spółdzielni Wydawniczej Czytelnik. W 1991 został mianowany ambasadorem Polski w Danii. W latach 1997-1999 był wiceprezesem Polskiego PEN Clubu. Jest autorem m.in. zbiorów wierszy *Wiozę swój czas na ośle* (1958), *Śmierć i miłość* (1963), *Ucieczka do Egiptu* (1964), *Wiersze dawne i nowe* (1974). Pisał też utwory sceniczne: *Pasja i potępienie doktora Fausta* (1973), *Polonez* (1979), *Słuchaj, Izraelu* (1989). Uprawiał twórczość eseistyczną: *W pierwszej i trzeciej osobie* (1967), *Szekspir na dzisiaj* (1971).

Był rzadkim ptakiem w naszym pokoleniu. Dżentelmenem w każdym calu. Od niego można było nauczyć się elegancji, co dla nas wychowanych w czasach chamstwa i brutalności, miało niezwykłą wartość. To doświadczenie spotkań z nim było dla mnie bardzo ważne – powiedział Bryll przypominając, że Jerzy Sito powrócił do Polski z emigracji pod koniec lat 50. Leciutko mu zazdrościliśmy angielskiej elegancji. Jurek nosił się trochę inaczej niż my. Chodziliśmy jak łachmaniarze, co wynikało też ze stylu naszego życia, z brzydoty PRL-u, z przyjmowanej przez nas koncepcji turpizmu; żyliśmy trochę beładnie. Natomiast Jurek był człowiekiem osadzonym w kulturze Zachodu

i umiał się nosić. Wyróżniał się np. tym, że zawsze nosił marynarkę lub kamizelkę w kolorze głębokiej nasyconej czerwieni. Wzorował się na angielskiej modzie – wspominał Bryll.

Adam LEWANDOWKI

Opracowanie na podstawie tekstów Gazety Wyborczej oraz publikacji pośmiertnych na portalach internetowych, między innymi pisarze.pl.



I ty jesteś jednym z nich

Rozmowa z Gabrielą Wasielewską, sekretarzem Stowarzyszenia Absolwentów Liceum Ogólnokształcącego im. Józefa Wybickiego w Śremie

Na początku roku szkolnego, już po raz drugi, stowarzyszenie przyznało tytuł Maturzysty Roku. Ta bardzo ciekawa inicjatywa ma dość surowy regulamin.

Regulamin określa matematyczny przelicznik sumujący wszystkie wyniki procentowe egzaminów maturalnych. Przy czym podwójnie liczy się wynik egzaminów na poziomie rozszerzonym. To się dzieli i oblicza średnią. Wynik tegoroczny był troszeczkę niższy niż w poprzednim roku szkolnym (126,6 do 116,1). Maturzystą Roku została Natalia Pawlak. Bardzo blisko uplasowało się pięć osób. Cieszymy się, że to się nie powieli z wynikami Absolwentów Roku. Czyli nasz Maturzysta Roku to stricte najlepiej zdana matura, bo nie uwzględnia się tu np. osiągnięć pozanaukowych.

Wręczamy pamiątkowe wieczne pióro z wygrawerowanym napisem Maturzysta Roku i certyfikatem. Uroczyste wręczenie zdobytych laurów odbywa się razem z przyznaniem przez liceum tytułu Absolwenta Roku na początku roku szkolnego, ponieważ wyniki matur znane są na ogół dopiero w lipcu. To jest też dobra zachęta, zwłaszcza dla rozpoczynających w liceum naukę, żywy przykład, że warto przez trzy lata dobrze pracować.

Założeniem stowarzyszenia było między innymi, aby promować najlepszych, którzy kształcili się w murach tej zbliżającej się już do jubileuszu 155-lecia uczelni.

Chcemy pokazać wybitnych absolwentów, których historia już uhonorowała. Jak na przykład ksiądz Piotr Wawrzyniak, który ma swoje dobrze opisane miejsce w kronikach, ma swoją ulicę, jest patronem wielu instytucji i przedsiębiorstw. Ale jest też cały szereg takich,



k którzy zapisali się wybitnymi osiągnięciami w swoich dziedzinach, znanych raczej specjalistom a wartych przybliżenia szerszemu ogółowi. Stowarzyszenie przyjęło regulamin nadawania tytułu „Wybitnego Absolwenta”. I w dniu jubileuszu 155-lecia liceum 8 kwietnia br. chcemy otworzyć Galerię Wybitnych Absolwentów.

Początkowo myśleliśmy tylko o galerii wewnątrz gmachu. Wspaniały projekt przygotował także absolwent liceum, artysta plastyk Tadeusz Węlyczko, który zgłosił równocześnie pomysł, aby wyjść na zewnątrz gmachu i stworzyć na chodniku przed liceum coś w rodzaju alei gwiazd. Byłaby to wspaniała promocja miasta dla osób odwiedzających Śrem i dla miejscowych promocja tej uczelni.

Trudno było się temu oprzeć i nie zaangażować stowarzyszenia do realizacji tego pomysłu.

No tak, ale przecież z pełną świadomością, że poprzeczka została podniesiona znacznie wyżej. Bo realizacja już choćby tego znacznie skromniejszego pomysłu wymagała znalezienia sponsorów. Stowarzyszenie dysponuje tylko skromnymi składkami członkowskimi, w dodatku nieregularnie wpłacanymi. Poważenie się

więc na taki wspaniały ale kosztowny projekt wymagało sporo odwagi i optymizmu.

W dodatku proste z pozoru sprawy w realizacji znacznie się komplikują...

Wiadomo. Na przykład po wizji lokalnej wyłonił się problem ewentualnej wymiany nawierzchni chodnika z kostki brukowej na granitową oraz wymiany dwóch betonowych latarni na bardziej stylowe. A to już sprawa nie tylko finansowa, ale także dodatkowych formalności. Przecież cała ulica Poznańska jest w gestii konserwatora. Mam nadzieję, że z przychylnością władz gminy i powiatu uda się docelowo dopasować otoczenie do zabytkowego charakteru gmachu liceum.

Póki co decyzją Nadzwyczajnego Walnego Zebrania 11 grudnia ubiegłego roku tytuł Wybitny Absolwent otrzymało sześciu absolwentów, gdyż założenie jest takie, abyśmy w pierwszej kolejności nadawali tytuły tym, którzy zdali maturę do 1900 roku. I tak uhonorowani tytułem zostali: Ks. Piotr Wawrzyniak absolwent z 1867 roku, prof. Antoni Kalina absolwent z 1867 roku, prof. Heliodor Świąćicki absolwent z 1873 roku, dr Ludwik Mycielski absolwent z 1873 roku, prof. Eugen Mittwoch absolwent z 1874 roku, prof. Kazimierz Idaszewski absolwent z 1898 roku.

Umieszczenie wyróżnionych w galerii wymaga pozyskania środków na wykonanie i zawieszenie tablic biograficznych i wmontowanie medalionów w nawierzchni chodnika. I z tym musimy uporać się do 8 kwietnia.

To byłoby wspaniałe wyprowadzenie tego jubileuszu na zewnątrz, do wszystkich mieszkańców.

Tak. Chwalmy się swoim, bo to najmniej potrafimy. Mam pomysł komplementarny do tego jubileuszowego, który też łączyłby kielkującą już tradycję spotkań w gronie członków stowarzyszenia z poznawaniem absolwentów, którzy mają się czym pochwalić. Nawet całkiem prostymi rzeczami choćby tym, że świetnie gotują, malują, robią piękne decoupage i tym podobne. Taki Salon Absolwenta. Przy czym, jeżeli ruszyć, to z pomysłem cyklicznych spotkań odbywających się zawsze

w określony dzień i o tej samej godzinie. Przyzwyczaić publiczność, że zawsze tego i tego dnia, o tej i o tej godzinie jest Salon Absolwenta. To może być przy kawie, mieć klubowy charakter. A więc niekoniecznie w auli, raczej w takim miejscu jak księgarnia przy rynku. Może też warto by znaleźć miejsce i rezerwować odpowiedni dzień na spotkania absolwentów. Czy byłyby to spotkania klasowe, jubileuszowe, urodzinowo-imieninowe czy wszelkie inne okazje do wspomnień. Wiem, że są takie klasy, które się co miesiąc spotykają.

Ilumacie członków?

Stu dziesięciu. To jak na takie rzesze absolwentów jest w dalszym ciągu niewiele. Jest wielu śremian, których moglibyśmy jeszcze przyciągnąć. Niektórzy się spotykają i będą to nadal robić bez udziału stowarzyszenia. Ale są też tacy, którzy nie mają wokół siebie takiej koleżeńskej zachęty, bratniej duszy. Sami nie pójdą do kawiarni czy do kina. Może udałoby się ich czasami odciągnąć od codziennych obowiązków.

Polubiliście też spotkania teatralne.

Mam nadzieję, że będą one kontynuowane, choć to przecież zależy od liceum. Mnie marzy się teatr absolwentów. Mam wiele dowodów na to, że taka zabawa w teatr jest czymś kapitalnym. Jest całe mnóstwo ludzi uzdolnionych teatralnie, ale trzeba by przede wszystkim znaleźć człowieka, który potrafi i chciałby taki teatr poprowadzić. Gdybym miała pieniądze... to marzyłby mi się też projekt muzyczny, taki jak te realizowane kiedyś przez Krzysztofa Maciejewskiego. Tak, aby jak w przeszłości jego prezentacja była wydarzeniem kulturalnym roku. Jest tylu absolwentów grających i śpiewających... A o tych, którzy wyszli spod ręki Krzysztofa zapewne jeszcze usłyszymy.

Mogłabym na zakończenie powiedzieć, że scalanie ludzi i budzenie dumy z nas samych, to rzecz warta zachodu. Jesteśmy przecież jedną wielką rodziną tej naszej Almae Matris.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
Barbara NOWICKA

Wojskowe znaki tożsamości

Nieśmiertelnik. Kwitnie od lipca do października, pochodzi z Australii. Wszyscy go znamy. To popularna Kocanka Ogrodowa. Skąd ta „nieśmiertelna” nazwa? Nie wiem. Dla mnie nieśmiertelnik to jeden z elementów wyposażenia żołnierskiego będący w użyciu od ponad 150 lat. Znany również jako identyfikator lub znak tożsamości. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Ignacy Mościcki podpisał w dniu 27 lipca 1929 roku Konwencję Genewską o polepszeniu losu chorych i rannych w armiach czynnych. Możemy tam przeczytać m.in. jeden z obowiązków nałożonych na strony walczące: „Zbiorą oni również i prześlą sobie wszystkie przedmioty, służące do osobistego użytku, znalezione na polu bitwy lub przy zabitych, w szczególności połowę znaku tożsamości, pozostawiając drugą połowę na zwłokach.” Ten zapis sugeruje nam iż we wszystkich armiach nieśmiertelnik będzie jednocześnie z możliwością podzielenia go na dwie połowy. Polskim akcentem jest tutaj postać gen. bryg. dra Stanisława Roupperta – szefa Służby Zdrowia Wojska Polskiego. Przedstawił on w 1928 roku projekt normalizacji znaku tożsamości, który został zatwierdzony przez konferencję Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Hadze (październik 1928) oraz dyplomatyczną w Genewie (lipiec 1929). W armii polskiej taki znak został wprowadzony dopiero w 1931 roku i znany jest pod nazwą „wzór 31”.

Wiele z zachowanych do dzisiaj znaków to górne lub dolne połowy. Znalezienie takiego fragmentu mogłoby sugerować iż przełamanie znaku stanowi potwierdzenie śmierci jego właściciela. Nie zawsze jest to prawdą. Oto jedna z wielu znanych mi historii, zakończona tragicznie we wrześniu 1939 roku.

W jeden z pochmurnych sierpniowych dni 2010 roku, właściciel ziemski przechadzając się po swych włościach planował jesienne prace polowe. Mając na głowie wiele trosk, ten niepozorny niski człowiek, szedł lekko pochylony, jednocześnie pilnie wpatrując się w ojcowiznę. Wie bowiem doskonale, iż nie tylko nochowska ziemia „garnki rodzi”. Nie był więc zdumiony, gdy jego oczom ukazał się fragment aluminiowej blaszki. Schylając się po nią, wiedział już, że historia uśmiechnęła się do niego szeroko. Będąc człowiekiem starej daty posiada tylko telefon stacjonarny, ale i on wystarczy aby wywołanym z pamięci numerem wszcząć dochodzenie. Znaleziskiem okazała się dobrze zachowana dolna połowa wrześniowego znaku tożsamości. Znalezisko trafiło w moje ręce. Po oczyszczeniu ukazały się czytelne dane właściciela: PPOR JOZEF SMAKUŁSKI 1908, na odwrocie zaś SZ SZAMOTUŁY KAT. Wspólna burza mózgów pozostawiła wiele pytań bez odpowiedzi. Kim był oficer? Czyżby zginął w Śremie lub okolicy? W jakiej jednostce służył?

Dolna połowa znaku tożsamości J. Smakulskiego





A może to okoliczny mieszkaniec, który przeżył wojnę i pozbył się blaszki razem z innymi śmieciami? Pierwsze poszukiwania w sieci spęzły na niczym. Stwierdzenie, że w internecie jest wszystko, po raz kolejny, okazało się nieprawdą. Na szczęście zasoby internetowe nie są jedyną bazą danych. Jednak domowa biblioteczka również nie przyniosła odpowiedzi na postawione pytania. Kolej więc na postawienie sobie następnego: jakie oddziały stacjonowały w 1939 roku w Śremie i okolicach? Na to pytanie odpowiedź znajdziemy w miejskiej bibliotece. Przeglądanie zakurzonych pozycji zajęło sporo czasu i dało zaskakujące rezultaty. Nie wiedziałem, że w okolicy Śremu na ćwiczenia przybywały jednostki z Poznania. Równolegle prowadziłem poszukiwania na portalach historycznych i militarnych. Tym razem komputer okazał się pomocny. Jest pierwsza wiadomość: w publikacji „Awanse oficerskie w WP 1935-1939” jest nasz oficer. Sukces! Zgadza się imię, nazwisko, stopień i rok urodzenia. To jednocześnie dużo i mało. Udało się powiązać nieśmiertelnik z właścicielem, lecz nadal wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi. W marcu 2011 roku, po 6 miesiącach poszukiwań nadchodzą kolejne wieści. W Centralnym Archiwum Wojskowym zachowały się akta personalne naszego żołnierza. To naprawdę elektryzująca wiadomość. W bibliotece



przeszukuję kolejną ciężką księgę – „Armia Poznań w wojnie obronnej 1939.” Zawarty w niej stan osobowy pułków jest nieocenioną pomocą i przynosi potwierdzenie służby poszukiwanego żołnierza na terenie Śremu. W tym wypadku wielotygodniowe poszukiwania w literaturze i internecie zaczynają przynosić rezultaty.

Józef Mateusz Smakulski urodził się 9 lutego 1908 roku. Przez 3 lata uczęszczał do szkoły budowlanej w Lesznie. W okresie od lutego 1927 do stycznia 1928 ukończył Szkołę Budownictwa w Poznaniu. Zdany egzamin uprawnia go do wykonywania prac w zakresie budownictwa architektonicznego. Ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Piechoty w Zambrowie (16 VIII 1930 – 27 VI 1931). W opinii końcowej napisano m.in.: prezencja dobra, dobry kolega, nadaje się zupełnie dobrze na d-cę sekcji łączności. Dalsze szkolenie wojskowe przechodził na ćwiczeniach rezerwy w następujących pułkach: 30. ps Kaniowskich (1 VIII – 10 IX 1932), 56. pp Wlkp. (4-29 VI 1935; 23 VIII – 17 IX 1937), 55. pp (28 IX – 14 XI 1938). Awansuje do stopnia ppor. rez. ze starszeństwem od 1 stycznia 1934 roku. Miał żonę i jedno dziecko.

Miejscowość Śrem ze względu na swoje położenie, znalazła się w planach obronnych Wielkopolskiej Brygady Kawalerii pod

dowództwem gen. bryg. dra Romana Abrahama. Powstały tutaj dwa odcinki obronne („Śrem” i „Zaniemyśl”), w oparciu o linię rzeki Warty. Od czerwca 1939 roku w Śremie i okolicznych majątkach trwają prace przy umocnieniach polowych, prowadzone wspólnymi siłami żołnierzy jednej z kompanii 55. pułku piechoty i miejscowej ludności.

Obsadzenie gotowych stanowisk powierzono dowódcy 55. pp płk Władysławowi Wiczerzyńskiemu. Zadanie obrony linii Warty na OO „Śrem” ciągnącym się od Góry do Śremu, otrzymał II batalion 55. pp pod dowództwem mjr Sosienia. Do dyspozycji otrzymał on również BON „Leszno” [Batalion Obrony Narodowej] (bez kompanii) i 7. dak [Dywizjon Artylerii Konnej] (bez baterii). Zadaniem OO „Zaniemyśl” była obrona Warty od Śremu do linii kolejowej Jarocin-Środa Wlkp. Odcinek ten podlegał dowódcy III batalionu 55. pp.

W ostatnich dniach sierpnia zajmuje stanowiska drugi batalion wraz z przybywającymi po mobilizacji oddziałami WBK, które rozlokowują się w pobliskich miejscowościach. Prawdopodobnie właśnie wtedy do Śremu przybywa wraz z batalionem pluton łączności, z jego dowódcą ppor. rez. Smakulskim. W zachowanych aktach personalnych czytamy opinię d-cy 55. pułku: „Bardzo dobry dowódca plutonu łączności – szkolić w dalszym ciągu na tym stanowisku”. Stacjonujący już w budynku miejscowego gimnazjum gen. Abraham, wraz ze sztabem WBK wydaje ostatnie rozkazy przygotowujące żołnierzy do walki. Łączność ze sztabem Armii „Poznań” i sąsiadującymi jednostkami zapewniała radiostacja oraz aparaty Hughes'a (telegraficzne). Do komunikacji z pododdziałami używano linii polowych.

Wojska niemieckie w pierwszych dniach września obeszły umocniony odcinek i posuwały się w kierunku Warszawy. 3 września sąd polowy Brygady w Śremie, podczas rozprawy przeciwko dywersantom z Leszna wydaje 12 wyroków śmierci, zatwierdzonych przez dowódcę Brygady. Wojsko Polskie zaczyna opuszczać zajmowany odcinek obrony i w zwartym szyku przez Zaniemyśl udaje się do Wrześni. Po sześciu

dniah marszu osiąga linię Bzury i szykuje się do bitwy.

Właściciel nieśmiertelnika znajduje się w księdze pochowanych żołnierzy polskich. Poległ 19 września 1939 roku w miejscowości Rybno, tam też spoczywa w kwaterze wojennej. Mimo iż widnieje w ewidencjach jako pochowany w Rybnie, nie posiada własnej tabliczki nagrobnej.

W okolicy Śremu nie odbyła się żadna potyczka z nieprzyjacielem lub choćby wymiana ognia. Jaki był cel porzucenia połowy nieśmiertelnika na wiele dni przed bitwą? Może został zagubiony i dopiero później został przełamany? Tego nie dowiemy się chyba nigdy.

Szukając informacji związanych z tym kawałkiem nieśmiertelnika, spotkałem wielu nieznanymi mi ludzi, którzy poświęcili swój czas aby mi pomóc. W tym miejscu zacytuję jednego z piosenkarzy i kompozytorów: „Lecz ludzi dobrej woli jest więcej”, i to dzięki nim mogę zaprezentować okrusz historii naszego miasta, zaklęty w kawałku aluminium.

Artykuł stanowi część wydanego opracowania *Wojskowe znaki tożsamości w fotografii i źródłach z epoki*.

Marek SADZIKOWSKI

Powstańcy wielkopolscy ze Śremu i z okolic w zbiorowych dołach NKWD w 1940 roku

Przed powstaniem

Po dwóch latach wojny, w 1916 roku, było już widoczne osłabienie sił Rzeszy Niemieckiej. Przebywanie żołnierzy przez długie miesiące w okopach, niejednokrotnie pozbawionych zmian z uwagi na wyczerpujące się rezerwy, olbrzymie straty ludzkie powodowane wyniszczającymi atakami, doprowadziły do znacznych trudności w mobilizowaniu uzupełnień. Zniszczonego sprzętu nie można było zastąpić; brakowało robotników fabrycznych, walczących na froncie oraz surowców w wyniku blokady. W latach następnych ta sytuacja ulegała stopniowemu pogarszaniu, w 1918 roku zanotowano nasilające się bunt y żołnierzy zdemoralizowanych kilkuletnią wojną. Na froncie zachodnim całe pułki odmawiały wykonania rozkazów ataku, co więcej, nie były już zdolne do aktywnej obrony. Żywność i węgiel dla ludności cywilnej były reglamentowane. W obliczu całkowitego wyczerpania zasobów, rozpadającej się armii i administracji, klęsk na frontach, narastał w Rzeszy kryzys wewnętrzny. 9 listopada 1918 roku Niemcy ogłoszono republiką, a 11 listopada delegacja niemiecka podpisała pod Compiègne zawieszenie broni.

Gdy klęska Niemiec była już wyraźnie widoczna, na terenie Wielkopolski ujawniały się nastroje niepodległościowe podtrzymywane zwłaszcza przez członków TG „Sokół” i skautów. W sierpniu 1914 roku uczniowie gimnazjum śremskiego, członkowie Towarzystwa im. Tomasa Zana, zawiązali drużynę skautów, z której rozwinęła się później gimnazjalna drużyna im. Przemysława II, w 1918 roku druhowie wstąpili do Polskiej Organizacji Wojskowej. Drużyna skautowa im. Tadeusza Rejtana powstała 3 IV 1913 roku; grupowała ona starszą młodzież pozaszkolną. Gniazda Towarzystwa Gimnasty-

cznego „Sokół”, organizacji społeczno-wychowawczej, sportowej i paramilitarnej, zakładano w Wielkopolsce począwszy od 1885 roku, w Śremie powstało 13 IV 1893 roku.

Te organizacje ujawniły się wraz z coraz szerszymi tendencjami wyzwolenческими, które wzmogły się z falą żołnierzy, w pierw dezert erów, później powracających z armii i docierających informacjami o strajkach w Niemczech, buncie marynarzy w Kilonii (3-5 XI 1918 r.), rewolucji i abdykacji cesarza (9 XI). Wówczas, tajny dotychczas, Centralny Komitet Obywatelski rozpoczął organizować lokalne komitety, których podstawowym zadaniem było przejęcie administracji; wyznaczano przyszłych kierowników instytucji miejskich, organizowano też drużyny Straży Ludowej, później Straży Obywatelskiej.

Wybory do Rady Robotniczej odbyły się w Śremie 12 listopada, po połączeniu z Radą Żołnierską ukonstytuowała się niebawem jednolita Rada Robotniczo-Żołnierska, która do niemieckiej administracji miasta przydzieliła swych decernentów (kontrolerów). W listopadzie Komitet Obywatelski przekształcił się w Powiatową Radę Ludową, przy nim powstała Straż Ludowa uzbrojona w broń odebraną policji i żandarmerii niemieckiej. W pierw była to służba jedynie porządkowa, w początkach grudnia przeorganizowała się w kompanię wojskową.

Wiadomość o wybuchu 27 grudnia powstania w Poznaniu, o starciach w mieście, zdobyciu i obsadzeniu w ciągu kilku dni obiektów wojskowych, rozeszła się natychmiast na prowincji, zaś Komisariat Naczelnej Rady Ludowej wzywał do organizowania lokalnych oddziałów powstańczych, obejmowania urzędów i instytucji niemie-

ckich oraz usuwania z miast powiatowych stacjonujące w nich jednostki wojskowe. Koszary w Śremie zajmował batalion zapasowy 47. pułku piechoty, liczący kilkuset żołnierzy, dobrze uzbrojonych i wyposażonych. Dowództwo kompanii śremskiej i kierownictwo Rady Ludowej zdecydowały uderzyć na koszary rano 31 grudnia, lecz do niego nie doszło, gdyż dowództwo batalionu 30 grudnia wieczorem poddało się. Rozbrojonym żołnierzom pozwolono wyjechać do domu, ale musieli zostawić znaczną liczbę broni i amunicji: kilka granatów, półtora tysiąca karabinów, kilkadziesiąt karabinów maszynowych, granaty ręczne i amunicję. Można było zatem przystąpić do formowania batalionu regularnego wojska, który po kilku dniach liczył już około 800 ochotników: członków Straży Ludowej, Służby Straży i Bezpieczeństwa, Sokoła, Bractwa Strzeleckiego, skautów – uczniów gimnazjum i mieszkańców pobliskich wsi; wystarczyło ich do obsadzenia czterech kompanii piechoty, dwóch śremskich i dwóch kórnickich, plutonu łączności telefonicznej złożonego ze skautów, uczniów klasy maturalnej gimnazjum, sekcji ciężkich karabinów maszynowych i oddziału kawalerii.

Powstańcy śremscy na frontach wielkopolskich

Próby zidentyfikowania powstańców na listach katyńskich natrafiają na poważne problemy metodyczne. Najważniejszym z nich jest określenie podstawy zakwalifikowania danej osoby do grupy powstańców. Początek powstania datuje się na 27 grudnia 1918 r., gdy wybuchły walki na ulicach Poznania, wiadomości o nich rozeszły się szybko na prowincji, przystąpiono do rozbrajania garnizonów niemieckich i usuwania urzędników. W styczniu 1919 r. trwały walki w całej Wielkopolsce, prowadził je oddziały ochotników, dowodzone przez wybranych dowódców. Powstanie zakończyło się 15 stycznia, gdy Komisarjat Naczelnej Rady Ludowej przekazał dowództwo nad walczącymi oddziałami gen. Józefowi Dowbór-Muśnickiemu. Rozpoczął on organizowanie regularnej armii wielkopolskiej, ogłaszając 23 stycznia rozporządzenie Komisarjatu NRL z 17 stycznia o poborze do wojska trzech roczników: 1897, 1898 i 1899.

Do powstańców zaliczamy zatem ochotników, którzy w listopadzie i grudniu 1918 r. wstąpili do Straży Ludowej lub kompanii Służby Straży i Bezpieczeństwa oraz do miejscowych oddziałów, walczących na różnych frontach do końca stycznia 1919 r. Poborowi nie byli powstańcami, lecz żołnierzami wojsk wielkopolskich, także ochotnicy, którzy zgłosili się do wojska w lutym, marcu, a nawet później byli żołnierzami, nie zaś powstańcami.

Dotychczas odnaleziono 21 powstańców, pochodzących ze Śremu i z powiatu śremskiego, ofiar eksterminacji z wiosny 1940 roku. Należy wszakże pamiętać, że nie jest to liczba ostateczna, powstańców z omawianego obszaru musiało być znacznie więcej, brak jednak informacji, nie wzbudzających wątpliwości, co do terminu ich uczestniczenia w powstaniu.

Front zachodni

Od 11 I 1919 r. 1 kompania uczestniczyła w walkach o Zbąszyń, Łomnicę i Strzyżewo. Brali w nich udział Adam Binkowski, Piotr Lesiński, Kazimierz Piasecki i Zygmunt Siciński. W walkach pod Zbąszyniem uczestniczył także Władysław Stahr z kompanii grodzkiej, a dr Leonard Szadkowski był naczelnym lekarzem frontu. Ciężkie walki zakończyły się 17 stycznia.

Front południowo-zachodni (grupa „Leszno”)

Od 6 do 16 I 1919 r. 1 kompania walczyła pod Miejską Górką, Słupią, Zieloną Wsią i Wydawami, zaś 2 kompania pod Kąkolewem i Pawłowicami (13 I – 1 IV). W walkach uczestniczyli: Piotr Lesiński, Franciszek Michalski, Alfons Olszewski, Bohdan Radomski (pluton łączności), Kazimierz Siemiątkowski, Alfred Tułodziecki. Naczelnym kapelanem frontu był ks. Czesław Wojtyniak.

Front północny

W 1 szwadronie 2 dywizjonu 1 p. ułanów wielkopolskich służył Jerzy Skrzydlewski-Watta.

Po powstaniu i po wojnie

Po zawarciu traktatu pokojowego z Niemcami (28 VI 1919) na frontach wielkopolskich zdarzały się jeszcze utarczki: pozycje polskie

bywały ostrzeliwane ogniem moździerzy i karabinów maszynowych. Gdy zagrożenie niemieckie minęło, wojska wielkopolskie zostały przetransportowane na wschód: walczyły pod Lwowem (III-VI 1919), na froncie galicyjskim (VII-VIII 1919) i na froncie litewsko-białoruskim (1919-1920). W obu wojnach, polsko-ukraińskiej i polsko-rosyjskiej, walczyło 19 śremskich powstańców. Po zakończeniu wojny i powrocie pułków wielkopolskich do garnizonów, 10 żołnierzy postanowiło pozostać w wojsku w służbie czynnej. Byli to: Wacław Fołtyn, Jerzy Skrzydlewski, Piotr Lesiński, Władysław Stahr, Antoni Minikowski, Alfred Tułodziecki, Bohdan Radomski, Wojciech Witkowiak, Stanisław Sikora, ks. Czesław Wojtyniak.

Oficerowie rezerwy podjęli pracę w różnorodnych przedsiębiorstwach, wszakże zwłaszcza w instytucjach. Wśród nich było trzech przemysłowców: Adam Binkowski i Zygmunt Fabrowski byli dyrektorami fabryk, a Tadeusz Skrzydlewski wysokim urzędnikiem w zjednoczeniu przemysłowym. W bankach pracowali Alfons Olszewski i Kazimierz Siemiątkowski, Antoni Minikowski był księgowym, Stanisław Grabowski prezesem sądu, Czesław Michalski urzędnikiem samorządowym, Franciszek Michalski urzędnikiem Straży Granicznej, Zygmunt Siciński administratorem majątku ziemskiego, Leonard Szadkowski lekarzem.

Spośród opisywanych 21 powstańców, czterech zdawało egzamin maturalny w gimnazjum śremskim (Zygmunt Fabrowski, Bohdan Radomski, Kazimierz Siemiątkowski i Władysław Stahr), Kazimierz Piasecki i Wojciech Witkowiak zostali usunięci z gimnazjum przed maturą za działalność społeczno-narodową w Towarzystwie Tomasza Zana, Alfons Olszewski zdecydował się odejść z gimnazjum, gdyż nie mógł pogodzić się z przesładowaniami nauczycieli niemieckich z powodu uczestnictwa jego kuzynów w strajku szkolnym.

Świadectwo dojrzałości w innych gimnazjach uzyskali: Stanisław Grabowski, Piotr Lesiński, Tadeusz Skrzydlewski (Ettal, Bawaria) i Alfred Tułodziecki. Leonard Szadkowski został usunięty z gimnazjum w Poznaniu za działalność

w Towarzystwie Tomasza Zana, egzamin maturalny zdał w Dreźnie. Wacław Fołtyn, uczeń gimnazjum w Rogoźnie, egzamin maturalny zdał przed wojskową komisją egzaminacyjną w Poznaniu.

Studia wyższe na wydziale prawno-ekonomicznym UP podjęli Zygmunt Fabrowski (4 semestry), Stanisław Grabowski i Bohdan Radomski. Tadeusz Skrzydlewski studiował agronomię w Monachium (2 semestry), Leonard Szadkowski na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu w Lipsku.

Zarys podsumowania

Po opisanu dróg życiowych śremskich powstańców, wypada zapytać, czym kierowali się, wstępując jako ochotnicy do oddziałów powstańczych.

Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy przypomnieć, że w ostatniej ćwierci XIX w. władze pruskie nasiliły germanizację młodzieży. W gimnazjum śremskim usunięto język polski z zestawu przedmiotów obowiązkowego nauczania, niebawem język niemiecki wprowadzono także na lekcjach religii. Gdy naukę religii w języku polskim wycofano ze szkół, wybuchły wiece protestacyjne, następnie strajki dzieci szkolnych, obejmujące całą Wielkopolskę. Taki strajk trwał w Śremie od kwietnia 1906 r. do lipca następnego roku. W odwecie władze obciążały rodziców wysokimi grzywnami, z gimnazjum śremskiego usunięto uczniów, których rodzeństwo „brało udział w strajku”.

W gimnazjum śremskim istniało tajne Towarzystwo im. Tomasza Zana, którego członkowie – uczniowie starszych klas – uczyli się historii, literatury, geografii, doskonalili znajomość języka polskiego. Członkowie Towarzystwa założyli tajną gimnazjalną drużynę skautów im. Przemysława. Jawne Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” zajmowało się wychowaniem fizycznym, także przygotowującym do posługiwania się bronią oraz pracą oświatową i wychowawczą. Skautowie i sokoły, oprócz działalności paramilitarnej, zbierali się na biwakach, obchodzili rocznice powstań lat 1831 i 1863, Konstytucji 3. maja. Tajna Polska Organizacja Wojskowa (zaboru pruskiego),

powstała w lutym 1918 r., prowadziła wywiad wojskowy, gromadziła broń; uczniowie gimnazjum wstąpili do niej z początkiem wojny.

Te rozmaite organizacje, tajne (TTZ i drużyny skautów) i jawne (TG „Sokół”) zajmowały się różnorodną działalnością społeczną, samokształceniową, wyrabiającą poczucie narodowe, obchody rocznic narodowych zamieniały się z czasem w demonstracje patriotyczne.

W drugiej połowie listopada 1918 r. widoczne było na terenie Wielkopolski znaczne ożywienie życia politycznego, zatem też ruchów narodowościowo-społecznych. Przyczyniły się do tego liczne wiece wyborcze, prowadzące do wyborów do zapowiadanego sejmu dzielnicowego (3-5 XII). Duży udział w pracach pomocniczych miała młodzież gimnazjalna i ze środowisk rzemieślniczych. Uczniowie, harcerze, członkowie TTZ – byli to w większości ci sami chłopcy – roznosili ulotki, rozlepiali plakaty, byli gońcami, zwoływali na wiece mieszkańców itd. Nie można więc się dziwić, że po opanowaniu Śremu, Kórniku, Dolska w końcu 1918 r. masowo wstąpili do powstańczego batalionu śremskiego. W tej podniosłej i radosnej atmosferze osiągniętej wolności nie mogli postąpić inaczej. Po powstaniu i po odbyciu służby wojskowej wszyscy walczyli w wojnach lat 1919-1920 o wschodnie granice Polski. Po wojnie byli to już młodzi mężczyźni, pracujący, studiujący, po kilku latach zakładający rodziny.

Kończąc te uwagi, warto rozpoznać przyczyny, dla których ci byli powstańcy śremscy zginęli okrutną śmiercią wiosną 1940 r. w Związku Sowieckim, zatem – kim byli w życiu społecznym, do jakiej grupy społecznej należeli. Na to pytanie nie jest trudno znaleźć odpowiedź? Byli to członkowie (przedstawiciele) grupy inteligencji zawodowej, ludzi wykształconych, trudniących się pracą umysłową, uznających wspólne, właściwe jej wartości i kierujących się wspólnym etosem ukształtowanym przede wszystkim w rodzinach, następnie w szkołach powszechnych i w gimnazjach, gdzie już kilkunastoletni chłopcy uczyli się zachowań obywatelskich w społeczności szkolnej.

Młodzi mężczyźni po egzaminie maturalnym byli powoływani do odbycia jednorocznej służby wojskowej w szkołach podchorążych. Oficerowie – instruktorzy i wychowawcy, kładli specjalny nacisk na wykształcenie poczucia narodowo-patriotycznego. Tą drogą formował się swoisty etos wojskowy, właściwy styl życia uznany za własny przez tych młodych podoficerów, charakteryzujący się wysokim poczuciem godności osobistej i dumy z pełnienia roli obrońcy ojczyzny aż do oddania życia za nią, w tym za współobywateli. Po promocjach oficerskich ci podporucznicy wychowywali w tym samym duchu żołnierzy z poboru, którymi dowodzili.

Ten styl życia, uznany za własny przez grupę społeczną inteligencji, przyjęta przez nią hierarchia wartości i zespół działań obyczajowych, w tragicznych warunkach niewoli stanowił oparcie i nadzieję na przetrwanie i pracę lub służbę po wojnie w niepodległej Polsce. Świadectwem przeżywania tego czasu w tym właśnie poczuciu wspólnoty społecznej i narodowej są notatki i pamiętniki znalezione w 1943 roku przy zwłokach wydobytych z dołów śmierci NKWD w lesie katyńskim. Ten właśnie etos (wzór kulturowy, hierarchia wartości) stał się przyczyną ich śmierci. Funkcjonariusze służb śledczych NKWD przekonali się o tym, że ci oficerowie nie zmieniają się mentalnie mimo nachalnej propagandy sowieckiej (zresztą w większości obrażającej ich poczucie narodowe, więc tym bardziej niemożliwej do przyjęcia), stanowią oni „przednią straż kontrrewolucji Zachodu, nie rokujący nadziei na resocjalizację element kontrrewolucyjny”, są wrogami Związku Sowieckiego i dlatego należy zastosować wobec nich karę śmierci. Ponadto ofiary, z nich większość stanowili młodzi oficerowie rezerwy, łączyła przynależność do wykształconych elit społeczeństwa, zatem kryterium polskości oraz fakt przynależności do określonych grup społecznych były motywami ich zagłady.

Wojciech ŚMIGIELSKI



Wieści z ratusza

Wizyta gości z Kantonu Guichen w regionie śremskim i Krobi

W dniach od 4 do 9 listopada br. gościliśmy w regionie śremskim i Krobi ośmioosobową delegację z Bretanii. Stowarzyszenie Unia Gospodarcza Regionu Śremskiego – Śremski Ośrodek Wspierania Małej Przedsiębiorczości od połowy lat 90-tych XX w. współpracuje ze Stowarzyszeniem C.R.I.C z Kantonu Guichen. Organizacja ta odpowiada za współpracę międzynarodową w zakresie wymiany edukacyjnej, sportowej, kulturalnej, gospodarczej, społecznej i turystycznej mieszkańców gmin Kantonu oraz rozwija kulturę bretońską we własnym środowisku i wśród zaprzyjaźnionych regionów.

Tematem wizyty była wymiana doświadczeń instytucji rozwijających kulturę (biblioteki, muzea, centra kultury) oraz odpowiedzialnych za edukację na różnych jej poziomach od przedszkoli po szkoły ponadgimnazjalne. Porównywano warunki pracy, prowadzone

w obu krajach reformy oświaty, problemy wychowawcze i edukacyjne. Podczas wizyty goście odwiedzili miejsca atrakcyjne turystycznie w Śremie, Książu Wlkp., Krobi i Dolsku. Urzekły ich szczególnie drewniane kościoły, ale przede wszystkim walory przyrodnicze i oczywiście gościnność mieszkańców.

Wielkopolska Nagroda Jakości dla Unii Gospodarczej Regionu Śremskiego – Śremskiego Ośrodka Wspierania Małej Przedsiębiorczości

15 listopada 2012 r. w poznańskim Hotelu Bazar odbyła się XIV gala wręczenia Wielkopolskiej Nagrody Jakości. Jest to jedna z najstarszych i najbardziej prestiżowych nagród gospodarczych w Wielkopolsce, przyznawana w konkursie jakościowym, który wpisuje się w formułę doskonalenia zarządzania m.in. organizacją, pracownikami, produktem czy usługami.

Wizyta gości z Kantonu Guichen w regionie śremskim





Wielkopolska Nagroda Jakości

W tegorocznym konkursie jednym z podmiotów wyróżnionych certyfikatem i znakiem Wielkopolska Jakość oraz tytułem Laureata Programu w kategorii: Instytucja Otoczenia Biznesu, za zaangażowanie w promowanie metod zarządzania wśród lokalnych przedsiębiorców została Unia Gospodarcza Regionu Śremskiego – Śremski Ośrodek Wspierania Małej Przedsiębiorczości. Certyfikat został odebrany przez Przewodniczącego Zarządu – Adama Lewandowskiego i pracowników stowarzyszenia, na co dzień współpracujących z przedsiębiorcami. Stowarzyszenie jako organizacja otoczenia biznesu, aktywizująca społeczność lokalną i wspierająca rozwój przedsiębiorczości od lat współpracuje z przedsiębiorcami, starając się rozwijać ich potencjał poprzez informacje, doradztwo i finansowanie podejmowanych inwestycji. Podczas prowadzonej działalności doradczo-finansowej zaangażowane jest również we wspieranie rozwoju organizacji metodą opartą na EFQM.

Spotkanie z mistrzem Europy

W czwartek 22 listopada br. burmistrz Śremu Adam Lewandowski gościł w siedzibie Urzędu Miejskiego mistrza Europy juniorów w Petanque, Pawła Pieprzyka. Zawodnik Śremskiego Klubu Przyjaciół Petanque wywalczył złoty medal podczas rozgrywanych w dniach 2-4 listopada 2012 r. Mistrzostw Europy Juniorów w strzale precyzyjnym w belgijskim

mieście Ghent. Burmistrz pogratulował młodemu śremsianinowi mistrzowskiego tytułu i w dowód uznania wręczył symboliczną statuetkę w kształcie wieży ciśnień. W spotkaniu uczestniczyła mama Pawła oraz Piotr Milicki, Prezes Śremskiego Klubu Przyjaciół Petanque. Sukces młodego śremsianina był największym osiągnięciem w historii polskiej petanque.

Telewizyjne Miasteczko Cyfrowe odwiedziło Śrem

W piątek, 23 listopada br. w Śremie zagościło Telewizyjne Miasteczko Cyfrowe, którego celem było rozpowszechnianie informacji o procesie cyfryzacji telewizji naziemnej na terenie Wielkopolski. Akcję zorganizowała m.in. Telewizja Polska S.A., TVP Poznań oraz Związek Importerów i Producentów Sprzętu Elektrycznego i Elektronicznego Branży RTV i IT. Miasteczko stacjonowało w siedzibie Urzędu Miejskiego w godzinach od 9.00 do 16.00. W programie znalazły się prezentacje i mini wykłady, podczas których mieszkańcy mogli poznać korzyści wynikające z cyfryzacji telewizji oraz uzyskać odpowiedzi na wiele pytań związanych z Naziemną Telewizją Cyfrową. Akcję swoją obecnością wsparli policjanci z KPP w Śremie, nadkom. Ewa Kasińska i asp. Krzysztof Tabatt, którzy ostrzegali przed nieuczciwymi akwizytorami i sprzedawcami wykorzystującymi proces cyfryzacji do wzbogacenia się.



Spotkanie z mistrzem Europy w petanque Pawłem Pieprzykiem

Jednocześnie z Telewizyjnym Miasteczkiem Cyfrowym ruszyła akcja „Cyfrowy Mikołaj”, która nie ominęła również Śremu. Mikołaj wręczał placówkom zagrożonym wykluczeniem cyfrowym prezenty w postaci dekodерów do odbioru naziemnej telewizji cyfrowej. Podarunki trafiły do Środowiskowego Domu Samopomocy w Śremie oraz Hostelu dla Bezdomnych w Nochowie.

W związku z Telewizyjnym Miasteczkiem Cyfrowym w Śremie, burmistrz Adam Lewandowski gościł w siedzibie UM m.in. Wojewodę Wielkopolskiego, Piotra Florka Lenę Bretes-Dorożalę, Dyrektora TVP Poznań; wójta Brodnicy, Marka Pakowskiego oraz burmistrza Książa Wlkp., Teofila Marciniaka.

Obchody 94. rocznicy Powstania Wielkopolskiego w Śremie

Złożeniem kwiatów pod pomnikiem Dobosza rozpoczęły się w Śremie 27 grudnia 2012 roku obchody 94. rocznicy Powstania Wielkopolskiego. Podczas spotkania pod pomnikiem Dobosza w Parku Miejskim im. Powstańców Wielkopolskich 1918/1919 Towarzystwo Miłośników Ziemi Śremskiej przygotowało wspomnienie o dowódcy powstańczego batalionu śremskiego – Stefanie Chosłowskim. Wartę honorową zaciągnęło wojsko oraz młodzież z Zespołu Szkół Politechnicznych ubrana w powstańcze mundury historyczne.

Po mszy świętej odprawionej w Kościele

Garnizonowym w intencji powstańców przemarszerowano do mogiły poległych żołnierzy Batalionu Śremskiego, gdzie odczytano apel poległych. Salwę honorową oddała kompania reprezentacyjna Batalionu Dowodzenia Sił Powietrznych. Słowo refleksji nad kwaterą powstańców wygłosił dziekan dekanatu śremskiego ks. prałat Marian Brucki.

Następnie uroczystości przeniosły się pod wieżę ciśnień, na której przed 94 laty, w momencie wybuchu Powstania Wielkopolskiego grupa śremskich skautów wywiesiła na znak wyzwolenia miasta biało-czerwoną flagę. Uroczystości zwieńczył w Muzeum Śremskim koncert kolęd wykonanych przez orkiestrę Towarzystwa Muzycznego im. Mariana Zielińskiego w Śremie.

Od lat uroczystości rocznicy wybuchu Powstania Wielkopolskiego w Śremie mają charakter patriotycznej wędrowki po lokalnych miejscach związanych z przebiegiem powstania. W uroczystości patriotyczne zaangażowane są instytucje: Urząd Miejski w Śremie, Muzeum Śremskie, Towarzystwo Miłośników Ziemi Śremskiej, Hufiec ZHP Śrem im. „Mazurka Dąbrowskiego” oraz Towarzystwo Muzycznego imienia Mariana Zielińskiego w Śremie.

Śremskie Żyrafy 2012 wręczone

W dniu 9 stycznia br. w hali Bazar odbyła się Gala Śremskie Żyrafy 2012. Na zaproszenie burmistrza udział w gali wzięli Marszałek



Obchody 94. rocznicy Powstania Wielkopolskiego w Śremie

Województwa Marek Woźniak, Dyrektor Biura Wojewody Andrzej Plesiński, posłowie, burmistrzowie gmin ościennych, władze powiatu śremskiego, przedstawiciele instytucji publicznych i przedsiębiorstw z obszaru gminy Śrem oraz nominowani w plebiscycie Śremskie Żyrafy. Spotkanie rozpoczęło się pokazem grupy Rapid, która z energią zaprezentowała swoje umiejętności. Po pokazie nastał czas na przemówienia: głos zabrali Adam Lewandowski, Marek Woźniak oraz ks. dziekan Marian Brucki. Kolejną i najważniejszą częścią gali było wręczenie statuetek żyraf. Wstępem do tego ważnego momentu był film z udziałem pięciolatków z Przedszkola nr 7 im. Janka Wędrowniczka, które opowiadały kim chcą być w przyszłości. Puentą filmu było stwierdzenie dzieci, że one, podobnie jak Śremskie Żyrafy, również będą kimś wyjątkowym.

Burmistrz Śremu wręczył wyróżnienia specjalne, które corocznie towarzyszą plebiscytowi. Otrzymali je:

– Wojewoda Wielkopolski Piotr Florek – za współpracę i partnerstwo na płaszczyźnie pomocy i integracji społecznej oraz inwestycyjnej

– Krystyna Wechmann – mieszkanka gminy Śrem, prezes Federacji Stowarzyszeń „Amazonki”, nominowana w plebiscycie Kobieta Roku 2012 organizowanym przez Twój Styl

– Hufiec Związku Harcerstwa Polskiego im. Mazurka Dąbrowskiego w Śremie w 100-lecie swojej działalności

– Zespół Szkół Politechnicznych im. Powstańców Wielkopolskich w Śremie za obchody 135-lecia swojego istnienia

– Tygodnik Śremski z tytułu jubileuszu 20-lecia. Rozstrzygnięta została szósta edycja plebiscytu na Śremskie Żyrafy. Tegoroczni nominowani to:

– Klub Sportowy Rapid Śrem – uczestnicy programu Mam talent

– The Merss – zespół punkowy

– Patrycja Wyciszkiewicz – lekkoatletka

– Paweł Pieprzyk – mistrz Europy w petanque.

Przez ponad miesiąc internauci mieli możliwość głosowania na swojego faworyta na stronie srem.pl. Ich zdaniem na miano Śremskiej Żyrafy 2012 najbardziej zasługuje **Patrycja Wyciszkiewicz**, która zdobyła **54% wszystkich głosów**. W głosowaniu wzięły udział 782 osoby.

Wyboru Śremskiej Żyrafy 2012 dokonali też goście zaproszeni na galę. Tu również zwyciężyła **Patrycja Wyciszkiewicz**, uzyskując **48% głosów**. Wszyscy laureaci otrzymali statuetki Śremskiej Żyrafy.

Kilka nowych faktów z życia i działalności dr. Seweryna Matuszewskiego (1879-1939)

Przygotowując wykład o dr. Sewerynie Matuszewskim z cyklu „Wybitni śremianie, wybitni Wielkopolanie (XIX-XX w.)”, jakie prowadzę dla młodzieży szkół średnich w Muzeum Śremskim, byłam pełna obaw czy zdołam odkryć coś nowego z jego życia i działalności.

Dr Matuszewski ma swój biogram, opracowany przez Adama Podsiadłego, w „Słowniku biograficznym Śremu”. Jest też jednym z bohaterów książki Jarosława Wawrzyniaka „Śrem w Powstaniu Wielkopolskim 1918-1919”. Na szczęście uzyskałam pomoc od Barbary Jahns, która zwróciła mi uwagę, że w zbiorach muzeum od 2004 r. jest praca magisterska pt. „Dr Seweryn Matuszewski (1879-1939). Próba biografii”. Napisał ją student historii w UAM Krzysztof Domian – **prawnuk dr. Matuszewskiego**. W pracy swej uwzględnił wszelką dostępną wówczas literaturę, przede wszystkim dotyczącą Powstania Wielkopolskiego, prasę, dokumenty uzyskane po kwerendach w poznańskich bibliotekach i archiwach oraz zbiory rodzinne po pradziadku. Nie obyło się bez kwerendy w Śremie. Dokumenty z archiwum prawnuka dr. Matuszewskiego, związane są

z jego studiami medycznymi, działalnością zawodową, społeczną, polityczną i służbą wojskową. Kilkadziesiąt zdjęć, które ilustrują życie rodzinne i wszelką aktywność dr. Matuszewskiego w Śremie, są bezcenne dla wzbogacenia jego dotychczasowego wizerunku.

Na moją prośbę mgr Krzysztof Domian przyjechał do Śremu i zabrał ze sobą część rodzinnych pamiątek po pradziadku. Jak się okazało był także moim studentem i odświeżyliśmy „starą znajomość”. Przez sześć godzin skanowaliśmy dokumenty, zdjęcia, wycinki prasowe. Mgr Domian wyraził zgodę bym mogła wykorzystać je w prezentacji audiowizualnej do planowanego wykładu. Wszystkie fotografie, dołączone do tego tekstu, pochodzą także z jego zbiorów. Są publikowane po raz pierwszy, za co jestem bardzo wdzięczna.

Krzysztof Domian zwrócił mi także uwagę na informacje o dr. Sewerynie Matuszewskim jakie zawarte są w wywiadzie jego współpracownicy w Banku Ludowym – Alicji Radomskiej. Wywiad przeprowadził Jerzy Balcerowicz i opublikował go na łamach „Tygodnika Śremskiego” (nr 46 z 15 IV 1993, s. 8-9) pt. „Ten Bank był podporą Śremu”. Alicja Radomska, licząca wówczas 92 lata wykazała się genialną pamięcią w podawaniu faktów z dziejów Banku oraz życia i działalności dr. Matuszewskiego. Powiedziała wiele o jego charakterze, niewyobrażalnej pracowitości i aktywności społecznej. To na pewno przez ten wywiad zachowałam w swoich zbiorach ten numer „Tygodnika”, bez trudu go odnalazłam i odświeżyłam lekturę.

Po tym długim wstępie pozostaje mi przypomnieć Czytelnikom część znanych i nowych faktów z bogatej biografii tego wybitnego śremianina. Urodził się 11 XI 1879 r. w Śmiglu jako syn Michała – krawca, właściciela

Legitymacja służbowa dr. S. Matuszewskiego z 1920 r.



warsztatu rzemieślniczego i Anny z Szychowców. Miał trzy siostry, o losach których nie zachowały się informacje i brata Marceliego (1875-1924). Odegrał on ważną rolę w życiu Seweryna, o czym szerzej dalej.

Zachowała się w zbiorach rodzinnych fotografia z roku 1886, z uczniami szkoły powszechnej w Śmiglu. Jest na niej także mały Seweryn, jako jeden z doboszów szkolnej orkiestry. Od 1892 r. był uczniem Królewskiego Gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu. Po siedmiu latach zdał maturę i wystawiono mu świadectwo z datą 10 III 1899 r. Zdecydował się na studia medyczne. Po krótkiej służbie wojskowej w Berlinie, podjął je w tym mieście, kontynuował w Lipsku (choć nie można tego udokumentować), a zakończył w stolicy Bawarii – Monachium. Na dyplomie lekarskim jest data 28 III 1904 r. Następnie odbywał praktykę lekarską w tamtejszej klinice uniwersyteckiej i w lutym 1905 r. uzyskał stopień naukowy doktora medycyny, specjalisty chorób wewnętrznych i nerwowych.

W „Przewodniku Katolickim” z 7 V 1905 r. ukazało się ogłoszenie: „Osiadłem w Śremie i mieszkam przy ulicy Recznej w kamienicy p. Chałupczaka. Dr S. Matuszewski lekarz praktyczny”. Stał się zatem śremianinem z wyboru i bez wątpienia wpływ na tę decyzję miał jego starszy brat – ksiądz Marceli Matuszewski, który od 1904 r. do 1924 r. był proboszczem w kościele p.w. Michała Archaniola w Błociszewie. Przez 19 lat bracia działali, wypełniając oczywiście zawodowe misje, na wielu płaszczyznach życia społecznego Śremu.

Dr S. Matuszewski z synem Zbigniewem



Za pośrednictwem brata dr Matuszewski poznał po 1908 r. właściciela majątku błociszewskiego hr. Daniela Kęszyckiego, z którym odegrał tak wybitną rolę w pierwszych dniach Powstania Wielkopolskiego w 1918 r. Odsyłam tu Czytelnika do lektury wspomnień hr. Kęszyckiego wydanych w 2005 r. pt. „Z dni powstania wielkopolskiego. Wspomnienia 1918-1920”. Dr Matuszewski był częstym gościem w błociszewskim pałacu, co jest udokumentowane na fotografiach. Leczył także ośmiorgo dzieci hr. Kęszyckiego, jak mi powiedział jego syn – Wojciech (patrz: „Gazeta Śremska”, nr 11/12 z 2012).

Wiadomo, że dr Matuszewski był członkiem wielu organizacji i instytucji działających w Śremie. Między innymi już w 1906 r. Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Jako jego przedstawiciel wziął udział w V Zjeździe Sokołów, jaki odbył się w Krakowie od 15 do 17 lipca 1910 r., z okazji odsłonięcia Pomnika Grunwaldzkiego ufundowanego przez Ignacego Jana Paderewskiego, dla upamiętnienia 500. rocznicy zwycięstwa polsko-litewskiego nad Zakonem Krzyżackim. Nie obyło się bez represji ze strony władz pruskich.

W 1911 r. dr Seweryn Matuszewski ożenił się z Zofią Jezierską (1889-1983), córką bogatego poznańskiego kupca. Jemu i rodzinie Jezierskich poświęciła książkę Małgorzata Mrugańska-Banaszak pt. „Śledztwo w sprawie króla szmalcu. Życie codzienne rodziny Jezierskich na początku XX wieku w Poznaniu”, Wydawnictwo św. Wojciecha, Poznań 2008.

Zamieszkali w kamienicy przy ulicy Mostowej (dziś ks. Prymasa Wyszyńskiego). Doczekali się czterech synów: Zbigniewa (1913), Olgierda (1914), Heliodora (1916), Janusza (1922). Ustaliłam, że wszyscy byli uczniami śremskiego gimnazjum i po uzyskanych maturach (Janusz w 1945 r.) otrzymali staranne wykształcenie. Rodzina Domianów ma wiele fotografii rodziny dr. Matuszewskiego. Widać na nich ojcowską miłość i bliskie relacje z synami. Z racji swoich wielu funkcji i pracy zawodowej, jak wspominała Alicja Radomska „[...]” żona z niego wiele pożytku nie miała. On wszędzie

należał, znał się na wielu rzeczach.[...] Do banku doktor przychodził o trzeciej. Wszystko już było przygotowane. On zapoznawał się z tym co zaszło w ciągu dnia, przeglądał nowe wnioski na pożyczki [...], podejmował decyzje. Do domu wychodził o piątej”. Należy zaznaczyć, że był ciągle czynnym lekarzem. W latach międzywojennych jednym z czterech śremskich medyków. Miał „ludzkie słabości” – palił papierosy i uwielbiał jeździć swoim samochodem marki ford.

Dr Matuszewski w 1914 r. został dyrektorem Banku Ludowego w Śremie i pełnił tę funkcję do 1939 r. Nowe dokumenty nasuwają pytanie jaki wpływ na to miał jego brat – ks. Marceli, od 1913 do 1916 r. prezes Rady Nadzorczej tej instytucji. O ich pracy w banku świadczą także dokumenty reprodukowane w książce Alicji Hyżak, „Skarbona historii Spółdzielczego Banku Ludowego [...]”, Śrem 2010. W kamienicy przy Banku Spółdzielczym był ostatni śremski adres Matuszewskich przed 1939 r.

Na zachowanych fotografiach dr Matuszewski ubrany jest często w mundur wojskowy. Dosłużył się przecież stopnia majora, był czynny w różnych organizacjach kombatanckich. Uczestniczył w mundurze w wielu uroczy-

stościach patriotycznych w Śremie. Chociażby podczas odsłonięcia 15 XI 1925 r. pomnika Dobosza – Pomnika Powstania i Wolności. Na krótko przed wybuchem wojny w 1939 r. szkolił nie tylko śremskie harcerki na kursach medycznych.

Wiadomo, że dr Seweryn Matuszewski był jedną z ofiar publicznej egzekucji jaką dokonali hitlerowcy 20 X 1939 r. na śremskim rynku. Zofia Matuszewska zmarła w Śremie w 1983 r. Pochowana jest na cmentarzu farnym. Doczekała jeszcze w 1978 r. upamiętnienia działalności swego męża, na tablicy pamiątkowej na domu przy ulicy jego imienia.

Na ulicę swego imienia zasłużył sobie w Śremie także przyjaciel dr. Seweryna Matuszewskiego z Błociszewa – hr. Wojciech Kęszycki i mam nadzieję, że władze miasta w najbliższej przyszłości rozważą moją sugestię. Zbliża się przecież 95. rocznica wybuchu Powstania Wielkopolskiego.

Danuta PŁYGAWKO

Fot. z arch. K. Domiana i W. Kęszyckiego

Błociszewo, wrzesień 1933 r. Dr S. Matuszewski stoi między hr W. Kęszyckim i ks. J. Libowskim



Przybyszewski

Meteory Młodej Polski

cz. III

Wiosną w 1901 roku Dagny Przybyszewska wyjechała wraz z dziećmi na Kaukaz do Tyflisu. Przybyszewski miał za parę dni podążyć za nią. Ci którzy odprowadzali ją na pociąg mieli wrażenie pogrzebu. To likwidował się i kończył poetyczny okres przybyszewszczyzny. Potem ostał się już „ino sznur.”

Cierpiącą samotną Dagny czekającą codziennie na męża zabija kula rewolwerowa wymierzona w tył głowy. Tuż potem zabójca odbiera sobie życie. Zabójcą był Władysław Emeryk, poeta, przyjaciel Stacha, kochający Stacha i Dagny, nie mogący patrzeć na ten rozłam, na tą tragedię.

Odtąd Kraków widział Przybyszewskiego jako potulnego skrzętnego i oszczędnego staruszka, zahukanego i przykładowego męża Jadwigi Kasprowiczowej już teraz Przybyszewskiej. Pisarz stracił swój demonizm, zmienił się w męża kającego się i uwielbiającego dom i żonę, co nie bez sarkazmu stwierdza Boy, przywołując słowa Kazimierza Tetmajera z opowiadania „Na skalnym Podhalu” o tym „jak baba diabła wyonacyła”²⁴.

Więc kim był w końcu ten Przybyszewski? Człowiek nieszczęśliwy? Tak. Był człowiekiem nieszczęśliwym, nie przez warunki życia. Nieszczęście tkwiło w nim organicznie. On tej atmosfery nieszczęścia, tego ocierania się niemal o zbrodnię potrzebował. On musiał żyć tragedią, musiał ją mieć na co dzień i od święta; jak teatr. Bo szatan – jak wszystkie sztuki – wymyślił i teatr i maski. Przybyszewski wciąż grał jakąś tragedię, komedię dell’ arte. Obok smutku czaiła się w nim nieuleczalna nuda, lęk, nieustanny głód podrażnień. Czegoż on się nie

chwycił aby oszukać tą nudę, aby zakrzyczeć tę rozpacz, ten niepokój. Sparza muzykę z filozofią, pleć z mózgiem, gotyk z fizjologią rdzenia pacierzowego, diabolologię z malarstwem i rzeźbą. Ten szatan norweskiego malarza Vigelanda, z okładki czasopisma „Życie”, którego Przybyszewski był redaktorem, to rozsatanizowany Stach, który wszystko chłonie, wszystko przetwarza, przetapia w indywidualną religię. Był opętany przez trzy rzeczy, z których jedna wystarcza żeby zawładnąć człowiekiem – przez poezję, muzykę i frenetyczną miłość kobiety.

Nie dziw, że strumieni alkoholu trzeba było, aby uspić nerwy rozszalałe takim szarpaniem, uspić ten mózg, „który chodził krawędziami oblędu”²⁵.

I w tej swojej nieugaszzonej męce Przybyszewski wypełnił jedną rolę: „obudził poczucie tragizmu życia sztuki”²⁶. On był pierwszym, który pochylał się nad wszystkimi przepaściami życia, nad otchłanią nieszczęścia i zbrodni, nie jako pisarz, ale jako człowiek, który za każde słowo płacił krwią... swoją... i cudzą.

I to jest ważne – i dąć za myślą Boya – dla zrozumienia Przybyszewskiego. Nie jego programy, nie „absoluty” i „nagie dusze” porywały, ale on sam, ten opar demonizmu, ten narkotyk który sprzedawał. Mefistofeliczne było w nim wszystko.

„Miał mnóstwo wiadomości, którymi umiał genialnie operować. Skąd je miał? Licho wie, bo nikt nie widział żeby co czytał. Umiał chytrze prowadzić i przecinać dyskusje. Był mistrzem szyderstwa, umiał prowadzić sokratycznie dialog, wywieść rozmówcę na manowce i zostawić go na nich parsknąwszy śmiechem.

25. Boy-Żeleński: Ludzie żywi.

26. Boy-Żeleński Ludzie żywi.

24. opowiadanie pochodzi z cyklu Na skalnym Podhalu – Tetmajer.

W utworach wyzuty z humoru, w życiu miał piekielne poczucie dowcipu. Szyderstwem wypalał wszystko jak żrącym kwasem, rozkładał martwe związki, ściągał wszystkie narowy myślowe, niepokoił jakimś bolesnym cynizmem, a zarazem wiązał, przykuwał do siebie sekretną magią słów²⁷.

Bo to pewne, że bies wstąpił w tego człowieka. On był nawiedzony w wielkim stylu. I przez to stał się dla nas „bezcennym skarbem”. „Bo zważcie – stwierdza Boy – myśmy w Polsce nigdy nie mieli szatana; były tylko podrzędne rezydenty i pacholki piekielne: Kusy i Boruta. Przybyszewski spłacił za nas dług tej inkarnacji²⁸”.

Zjawienie się jego było potężnym uzdrowieniem, było rozwiązaniem zahamowanych wiekami kompleksów. On był freudowskim snem nagiej duszy a raczej freudowskim jej snów wykładem. Ale on sam z dotknięciem gleby rodzimej stracił swój demonizm.

Był gwiazdą, meteorem, ale nie przeszedł przez literaturę jak meteor. Zbyt długo trwał niszcząc swoją legendę. Przeżył samego siebie o parę dziesiątków lat.

Dla Niemców, tych co go pamiętają, pozostał zawsze światoburczym Stachem. Dla nas Polaków trzeba by odnaleźć, wydobyć spod nalotu właściwe jego oblicze, twarz „smutnego szatana” udręczonego bez miary człowieka, twarz wielkiego poety.²⁹

Nina SZMYT

Bibliografia

1. Boy-Zeleński: Ludzie żywi. PIW Warszawa 1956.
2. Boy-Zeleński: art. „Smutny szatan”. „Kłamstwa Przybyszewskiego” [w] Ludzie żywi.
3. Boy-Zeleński: Anegdoty z życia Stanisława Przybyszewskiego „Wiadomości Literackie” 1928 nr 30.
4. Dehmel Ryszard: Moje wspomnienia o Przybyszewskim.
5. Engel R.: Modernizm. Wieczna legenda Przybyszewskiego. [w] Młot przygody i inne szkice literackie.
6. Helsztyński: Meteory Młodej Polski. Kraków 1969.
7. Helsztyński: Przybyszewski. Kraków 1966.
8. Hulewicz: Wielkie wczoraj w małym kręgu. PAX 1973.

9. Kolińska Krystyna: Stachu, jego kobiety i jego dzieci. Wydawnictwo Literackie Kraków, 1978.
10. Knysz Rudzka Danuta: Komu mówił prawdę? Jeszcze raz o Przybyszewskim. „Nowe książki” 1979 nr 2110.
11. Kuncewiczowa Maria: Fantazja alla Pollaca. Warszawa 1979.
12. Nałkowska Zofia: Moralność Przybyszewskiego.
13. Parandowski Jan: Zdezonizowany król życia. [w] „Wiadomości Literackie” z 1928 roku nr 18 (całe poświęcone Przybyszewskiemu).
14. Przybyszewski St.: Moi współcześni. Pamiętniki t. 1-2 Kraków 1926-30.
15. Przybyszewski St.: Listy. t. I, II, III Parnas Polski Warszawa 1937.
16. Przybyszewski: Pisma rozproszone T. 2 Kraków 1964.
17. Surmowa Wyczółkowski: O Borucie satanizmie Przybyszewskiego i Gombrowiczu Londyn 1969 r.
18. Segiet: Szatan w wielkim stylu. „Gazeta Olsztyńska” 1970 r. nr 152.
19. Weis Tadeusz: Cyganeria Młodej Polski Kraków 1970.
20. Encyklopedia PWN Kraków, tom. 517.



Notka biograficzna

Nina Szmyt urodzona w 1944 roku w Śremie. Kończyła filologię polską na UAM w Poznaniu. Debiutowała na początku lat sześćdziesiątych drobnymi wierszami na łamach ówczesnych czasopism młodzieżowych. W 1996

roku ukazał się tomik *Uwierzyć w motyle*. Następne tomiki to: *Twe biblijne imię* – 1999, *Balkon z ławką* – 2005 r., *Trzy one*, wydanie I – 2005 r. wydanie II – 2006 rok. Jesienią 2006 roku ukazały się *Cmentarze*. W 2007 roku *Wiersze niektóre*. W 2008 *Stara fotografia*. Wiersze tłumaczono na język czeski (*Krajina s motylem* 1999 r.) i niemiecki (*In der Welt der Worte* 2002). Kilkanaście utworów znalazło się w antologiach: *Śremskie uliczki* 2001 r., *Śremski wernisaż* 2007 r., *Wy jesteście świadkami tego*. Białystok 2010 r., *Podzielić się światem*. Poznań 2010, *Jesienne przypływy*. Poznań 2010, *Słońce wschodzi jeszcze raz* Poznań 2011, tomik *Różowa łąka* 2012.

Kim jesteście Bambrzy z Poznania ?

Proponując nowy cykl tematów dotyczących wielokulturowości w Wielkopolsce odnosimy się do dawnych codziennych relacji, w których normalnością było to, że na ulicach małych i większych miast ludzie mówili sobie „dzień dobry” w kilku językach w drodze do różnych świątyń. Przedwojenna Polska należała bowiem do najbardziej wieloetnicznych krajów Europy, by w wyniku kataklizmu II Wojny Światowej stać się niemalże jednonarodowym. Proponujemy cykl tematów przybliżających tych bliskich i dalszych sąsiadów z próbą ukazania ich roli jaką odegrali w budowaniu wspólnego dziedzictwa.

Chcemy zachęcić do dyskusji o dawnych kontaktach – tych pozytywnych jak i tych prowadzących do konfliktów i uprzedzeń. W każdym z kolejnych tekstów stawiać będziemy pytania:

– Czy te opowieści o dawnej tolerancji i umiejętności bycia razem mimo różnic mogą być pomocne dzisiaj, gdy widok kolorowego tłumu na ulicy jest czymś naturalnym a perspektywa bliższych kontaktów z przybyszami z różnych zakątków świata jako naszych gości, współpracowników, sąsiadów jest tylko kwestią czasu?

– Czy gotowi jesteśmy po 60 latach życia w prawie jednoetnicznym kraju przyjąć, iż w ponad 1000-letniej historii Polski, jest to zjawisko nowe?

Jednocześnie teksty te opisujące poznańskich Bambrów, Ołedrów, Żydów, Niemców, Szkotów, Cyganów i innych wskazywać będą co łączyło niegdyś ludzi, jak współpracowano, jak można było czerpać z wzajemnych doświadczeń, umiejętności, żyć razem pomimo różnic i dziejowych huraganów. Jednocześnie będą to także opowieści o dramatach, które powstały w chwilach, gdy fobie zastąpiły rozsądek

a narodowy narcyzm odebrał rozum.

Kim jesteście Bambrzy z Poznania?

Pytanie to, po prawie 300 latach obecności Bambrów w Poznaniu, Wielkopolsce i gdzie tylko zawirowania losu ich rzuciły, jest wciąż aktualne. Tym bardziej istotne, że zadawane wreszcie w sposób naturalny, bez tego specyficznego podtekstu wymuszającego odpowiedź sytuującą pytanego po jakiejś stronie barykady. Wartościujący podtekst takich pytań narusza bowiem podstawowe prawa człowieka do bycia wolnym, podejmującym decyzję o swoim losie i miejscu do życia, które wybrał jako swoje, tak samo dobre jak i każde inne.!!!

Bambrom Poznańskim to pytanie stawiano w czasie ich historii wielokrotnie – szczególnie pod koniec XIX w i przez niemalże cały wiek XX. W większości nieszczerze a odpowiedzi były interpretowane w celu uwikłania ich w jakimś układzie społeczno-politycznym bardzo odległym od tego, w którym oni sami chcieli żyć. Nie mogąc się pogodzić z ich prawem do własnego wyboru, określano ich na przemian, że są: lepsi od lub dużo gorsi, bogaci, głupi, zdrajcy starej ojczyzny, wynarodowieni odszczepieńcy lub wręcz mniejszość niemiecka w polskim Poznaniu. Pytanie to z perspektywy intencji pytającego krzywdzące, spowodowało, iż ludzie ci przez całe długie lata przywykli do życia w cieniu, ukryciu swojej własnej tożsamości.

Dopiero teraz, na początku XXI wieku pytanie to ma rzeczywisty sens, gdy Europa urzeczywistnia swoje wielkie marzenie – bycia wspólnotą ludzi wolnych, dumnych ze swojego pochodzenia, cieszących się z bogactw własnej kultury, chcących uczyć się od siebie, niezależnie od miejsca zamieszkania, wyznania, zamożności,

wykształcenia, języka, wiedzy o świecie. Europa bez granic w sensie dosłownym, ale i symbolicznym. Europa, w której oby już nigdy, pytanie, *kim jesteś?* nie oznaczało niczego więcej niż zwykłą ciekawość pytającego. Wreszcie jest to czas, gdy z podniesionym czołem, z należną dumą i zaciekawieniem, to pytanie stawiają sobie sami zainteresowani; kim jesteśmy Bambrzy z Poznania tak naprawdę?

Historia poznańskich Bambrów jest fascynująca i niezwykła pod każdym względem. Dotyczy ona zjawiska, które wydarzyło się naprawdę w podpoznańskich wioskach prawie 300 lat temu i trwa nieprzerwanie do dziś. Zjawiska unikalnego w sensie społeczno-kulturowym – harmonijnego, niemalże bezkonfliktowego sposobu zakotwiczenia, zapuszczenia korzeni w nowym środowisku. Decyzje o zmianie miejsca do życia – dobrowolne i te wymuszone przez innych są zawsze decyzjami, które mają swoje bolesne, często drastyczne konsekwencje. Przyzwyczailiśmy się do takiego właśnie obrazu z historii najnowszej – migracji rodaków za chlebem tworzących z mozołem polskie dzielnice w Chicago i wielu zakątkach całego świata, mamy w pamięci przymusowe przesiedlenia całych narodów, wbrew ich woli doprowadzając do tragedii fizycznego wyniszczenia, ale także procesu trwającego przez kilka pokoleń – utraty tożsamości – bycia już nie stamtąd, ale i na długo nie stąd. Migracje ludzi to także zjawiska wynarodowienia i zupełnego wtopienia się w nową rzeczywistość lub odwrotnie – zamykania się w narodowych gettach mnożąc obawy i lęki. Migracje tworzą także demony podziałów na My i Oni, konfliktów i niezdolnej ksenofobii. Obawy i lęki wynikające z potrzeby asymilacji z jednej strony oraz odrzucenia, dyskryminowania, szykanowania i wyrzucania poza margines, są typowym obrazem towarzyszącym imigrantom. Jednak zdumiewający przykład poznańskich Bambrów dowodzi, że wcale te procesy nie muszą przebiegać w taki sposób. Zależy to jednak od wielu czynników, które w historii Bambrów złożyły się w niezwykle pozytywny wręcz przykładowy sposób ułożenia sobie życia w nowym otoczeniu. Czy mieli szczęście? Może to Wielkopolanie wykazali się szczególną gościnnością i tolerancją? A może przybyś-

z Bambergu i okolic mieli szczególne zdolności do adaptacji i życia w zgodzie i harmonii?

Z perspektywy tej niewielkiej grupy jej historia dotyka zagadnień uniwersalnych, wyznaczających pewien model życia razem, na przekór przeszkodom i różnicom. Dotyczy zagadnień, które są wspólne dla wszystkich, mostów ponad kulturami, ale także i tych, które są różne często decydujące o bogactwie i sensie kontaktów międzyludzkich. Ludzie różniący się od siebie mają o czym ze sobą rozmawiać, wymieniać się doświadczeniami, opowiadać o swoim życiu, zwyczajach, fascynować się sobą nawzajem.

Dokładnie tak, jak przeżywali to pierwsi osadnicy z Bambergu przybyli 1 sierpnia 1719 roku do małej wioski Luboń pod Poznaniem. Jedenaście rodzin z dziećmi – prawie 60 ludzi wraz z całym dobytkiem po wielu dniach drogi przebyli niemalże 1000 km pełni obaw i lęku przed nieznanym. Byli zdeterminowani poszukiwaniem nowego miejsca do życia, ale także pełni nadziei, że ta ich trudna decyzja okaże się słuszną, wartą tych poświęceń. Co mogli wiedzieć o tajemniczej ziemi gdzieś na krańcach Europy, o ludziach, z którymi przyjdzie im żyć razem, przyjaźnić się, sąsiadować, rywalizować? Z kim ich dzieci będą dorastały, chodziły do szkoły, wreszcie zakładały swoje własne rodziny? Kim oni będą w tej nowej rzeczywistości?

Zobaczyli wyniszczone wojnami, zarazami, prawie opuszczone wsie o niezbyt urodzajnych glebach. Zobaczyli zmęczonych, oczekujących pomocy, ale i ciekawych, gościnnych przyszłych sąsiadów mówiących jakimś dziwnym językiem. Zobaczyli także wielkie miasto pamiętające jeszcze swoje lata świetności, pełne renesansowych budowli, wspaniałych kościołów oraz mieszczan w swoich dostatnich strojach. Wszystko wokoło było tak inne od rodzimych stron, ale musiało być coś, co sprawiło, że pewnie pisali do krewnych i znajomych: *przyjeżdżajcie!*, tu jest miejsce dla wszystkich.

Dla Polaków byli intrygującymi obcymi, przybyszami z dalekiego kraju zaproszonymi przez władze miasta dla odbudowania tego miejsko-wiejskiego organizmu. Należał się im szacunek oraz gościnne przyjęcie, mimo że

obdarowano ich znacznie korzystniejszymi prawami dającymi przybyšom lepsze warunki startu niż tym, którzy przeżyli gehennę wojny 30-letniej.

Dla chłopów spod Bambergu polscy współmieszkańcy byli dziwnie uwikłani w stare struktury produkcji rolnej jeszcze pańszczyźnianej, o której w Europie zachodniej prawie już zapomniano, a więc różniący się kulturowo i to znacznie. Ale może właśnie dlatego taka wieś była dla nich bardzo atrakcyjna we wspólnym odkrywaniu własnej ludowej tożsamości. Świat magicznych zabiegów, zwyczajów tak harmonijnie wkomponowanych w obrzędowość doroczną, rodzinną i kościelną, tak bardzo wyznaczający odwieczny kontekst człowieka z naturą musiał ująć i zafascynować nowych przybyšy.

Różne okoliczności, czasem przypadkowe spowodowały naturalny prawie bezkonfliktowy proces asymilacji, zapuszczania korzeni dla kolejnych grup osadników przybywających do podpoznańskich wsi również i z innych regionów Niemiec: z Wirtembergii, Szwabii, Prus Wschodnich, ze Śląska. Asymilacja nie oznaczała tu kulturowego wtopienia się w polskie otoczenie ani też izolacji, zamykania się tej grupy w odizolowanych gettach. Polski kościół, kontakty z Polakami, mieszane małżeństwa, wspólna gospodarka i poznański rynek zbytu sprawiły, że bardzo szybko ludność ta zdecydowała o wprowadzeniu języka polskiego w szkole jako obowiązkowego dla swoich dzieci. Uznali, że język ten był bardziej użyteczny, na co dzień, ponieważ decydował o budowaniu więzi i partnerskich relacji społecznych – był bliżej życia.

Historia tej grupy imigrantów przez dziesiątki lat pozbawiona była tych wszystkich bolesnych kosztów, które zwykle ponosi imigrant – z wynarodowieniem włącznie. Jest to opowieść o ludziach, którzy potrafili tak ułożyć relacje międzyludzkie, aby zapewnić sobie poczucie zbiorowego bezpieczeństwa – życia razem. Uczyli się budować wspólnotę z szacunkiem dla siebie i innych, tolerancją i respektowaniem odrębności i różnic z poczuciem partnerstwa

w pokonywaniu przeciwności w myśl przysłowia: zgoda buduje, niezgoda rujnuje...

Pod koniec XIX wieku, gdy ktoś ich pytał, kim oni są, odpowiadali: „Jesteśmy Polakami, ale i z Polakami”. Zaczęli również ponosić tego konsekwencje szczególnie w ramach Pruskiej Prowincji Poznańskiej. Dla pruskich władz administracyjnych ta niemiecka grupa etniczna miała dać oparcie zmianom i stanowić ośrodek agresywnej ekspansji kultury zaborcy. Ich niechęć i sprzeciw oraz postulaty utrzymania polskiego języka na lekcjach religii były dla władz nie do zrozumienia. Powszechny udział Bambrów w polskich oddziałach Powstania Wielkopolskiego na długo stał się niezapomnianym i niewybaczalnym aktem zdrady niemieckiej racji stanu.

Z początkiem XX wieku ludność ta, wraz ze swoimi wioskami, została przyłączona do aglomeracji Poznania stając się mieszczanami. Uroczysty strój Bambrki – manifest przynależności do grupy, pojawiał się w trakcie większych uroczystości na ulicach miasta wzbudzając zachwyt swoim bogactwem.

Z czasem stał się także atrybutem polskości i był noszony z pobudek patriotycznych. Dla Bambrki w tym stroju przewidziano specjalne ławki w tramwajach, gdyż zajmowała ona zwykle 3 miejsca. W okresie międzywojennym ludność pochodzenia bamberskiego w dużej części zaczęła stanowić elitę tego miasta. Bogaci kupcy, rzemieślnicy, ale także prawnicy, lekarze, nauczyciele, profesorowie Uniwersytetu nosili stare bamberskie nazwiska: Dayerling, Muth, Leitgeber, Gesler, Reiss, Handschuh i wiele innych. Od 1905 roku w centrum renesansowego rynku w Poznaniu stała studzienka z dziewczyną w charakterystycznym stroju noszącą wodę. Pomnik Bambrki szybko stał się jednym z symboli miasta. Na pytanie: Kim oni są? Poznaniacy z dumą odpowiadali – To Nasi Bambrzy!!!

Ta piękna historia ludzi potrafiących żyć razem miała także swoje ciemne mroczne strony szczególnie w wieku XX – wieku chaosu, konfliktów, rosnącego nacjonalizmu, rodzących się struktur totalitarnych. Wtedy też zaczęto tym

ludziom zadawać pytania o rodzaj wpisu w paszporcie w rubryce narodowość. Znamy konsekwencje tych pytań. Cokolwiek by wpisali to, co czuli, to, co chcieli, aby wpisywali, co musieli i tak los sprawił, że ponieśli tego konsekwencje. Jeśli nie od razu to w następnej generacji.

II wojna światowa, w swojej niszczyielskiej potęgde, dosięgła i Bambrów. Zniszczyła nie tylko w sensie fizycznego unicestwienia, ale także zmasakrowała to, co było w tej historii najpiękniejsze – relacje międzyludzkie, związki emocjonalne, które są delikatną materią kultury wypracowywaną przez pokolenia.

Powojenne podziały, mury, poranione struktury społeczne oraz komunistyczny system spłaszczania wszystkich relacji międzyludzkich na długie dziesięciolecia zapanował w tej części Europy. Wzbudzona podejrliwość, nieufność, stan wiecznego zagrożenia swojej egzystencji oraz rosnący sprzeciw, wszystko to sprawiło, że poznańscy Bambrzy wraz z dużą częścią niezależnej, zawsze wolnej elity polskiej, zostali wepchnięci w cień. Ale jak się okazało ten cień, ta podziemna struktura pulsująca tuż pod powierzchnią była także i w Poznaniu bardzo dynamiczna i solidarna w swoim światopoglądzie. To tam wszelkie działania odnosiły się do naczelných zasad człowieka wolnego, wychowanego w kręgu wartości kultury europejskiej.

W 1977 r. pomnik Bamberki po wielu perypetiach wraca na Stary Rynek w Poznaniu i w pierw nieśmiało zaczyna się mówić znowu o Bambrach. Oni sami coraz częściej mają potrzebę powiedzenia czegoś o sobie. Pytanie, kim jestem? zaczyna odbudowywać dawne relacje. Zaczynają mówić coraz bardziej wspólnym głosem – Koła a od 1993 Towarzystwa Bambrów Poznańskich. Towarzystwo to skupia kilkuset członków chcących podtrzymać wspólne poczucie przynależności, tożsamości.

Od 9 lat w pierwszą sobotę sierpnia, na pamiątkę przybycia pierwszych osadników, odbywa się bardzo uroczyste święto bamberskie w formie

całodziennego festiwalu, w którym uczestniczą poznaniacy. Finał oczywiście ma miejsce przy studzience z Bamberką – na nowo symbolu miasta. To barwne spotkanie Bambrów na Starym Rynku w środku lata ma niezwykle wymiar atrakcji turystycznej, tak przecież potrzebnej miastu, które ma duże kłopoty w zapewnieniu atrakcji przyciągających i zatrzymujących choć na jeden dzień przyjezdnych. Poznań, mimo wysiłków jest ciągle jeszcze miastem, przez które się przejeżdża i ogląda z okien autokarów – jest miastem na szlaku turystycznych wojaży a nie ich celem.

Nastaje czas, gdy milkną podziały, urazy, niepewność, gdy słowo Bamber zaczyna być odbierane także jako synonim wytrwałości, pracowitości, patriotyzmu oraz umiejętności poszukiwania tego, co łączy – życia razem!

Rodziny o swojsko brzmiących nazwiskach znowu odżyły, weszły w krąg tętniącego życiem miasta, świadcząc przy tym z dumą o swoim pochodzeniu. Coraz częściej w trakcie różnych uroczystości zobaczyć można w Poznaniu charakterystyczne stroje, które tak jak przed 100 laty, fascynują swoją formą i pięknem.

Bambrzy są od prawie 300 lat barwnym i niezwykle twórczym elementem kultury Poznania, jednym z tych wyznaczników klimatu miasta i jego szczególnie piękną osobliwością. Ta historia zdarzyła się naprawdę i wszystko z nią związane winno podlegać szczególnej trosce i opiece. Jest poznańskim skarbem, który doczekał się swojego miejsca, swojego specyficznego teatru – Muzeum, w którym toczy się nieskończona opowieść o nich i o nas.

Interesując się historią, tradycją oraz współczesnością Poznania nie sposób pominąć opowieści o Bambrach.

Opowieść ta dotycząca małej grupy ludzi, ich doświadczeń z perspektywy jednostkowych losów, staje się doskonałą możliwością wspólnego poszukiwania własnej tożsamości i próby znalezienia odpowiedzi na pytania: Kim jestem? Kim jesteśmy?

Czas rozrywki

Nie samym chlebem...

Karnawał w pełni, więc pozwolę sobie na rozważania bardziej popularno-rozrywkowe. Wyznam mianowicie moją nienasyconą pasję do kryminału. Nie mam na myśli fascynacji przestępstwami rzeczywistymi. Tych bowiem nie umiem zaakceptować. Chodzi o gatunki – literacki i filmowy. I o serię. I także o ten powtarzający się, nieskończony wręcz, akt zwycięstwa sprawiedliwości i zadośćuczynienia krzywdzie. To takie... amerykańskie, żeby wszystko kończyło się *happy endem*. To takie proste, nieskomplikowane i zwyczajnie satysfakcjonujące. Do tego stopnia, że ohyda zbrodni nieco się zaciera i, mimo że nieodłączna, podczas rozwiązywania zagadki szczęśliwie schodzi na plan dalszy.

Jest kilka aspektów, które zapewniają kryminałom rzeszę fanów. Zagadka do rozwiązania, środowisko zbrodni i jej tło obyczajowe, a przede wszystkim postać detektywa – osoby na ogół niebanalnej, często ekscentrycznej, zawsze umocowanej w wąskim kręgu akceptujących jej dziwactwa przyjaciół. Celowo pominę teraz tych najsympatyczniejszych – każdy z nas bez wahania wymieni kilku, bo chcę zaakcentować, może niezbyt odkrywczo, że postaci te funkcjonują w europejskiej świadomości stosunkowo od niedawna.

Kryminał, podobnie zresztą jak horror, jest „zdobyczą” dziewiętnastego wieku. Ten gatunek nie mógł rozwinąć się wcześniej, bowiem wcześniej nie istniało zjawisko formalnego wykrywania przestępstw, nie istniała policja ani inna instytucja powołana wyłącznie w takim celu. Owszem, monarchowie dysponowali aparatem do tropienia spisków i przeciwników politycznych, ale z doprowadzeniem złodzieja, oszusta czy mordercy przed sąd obywatele musieli radzić sobie sami.

Sytuację odmieniła francuska pomysłowość. W 1810 roku, kiedy fala bezprawia unieruchomiła praktycznie Paryż, tajnie podjęto zadziwiającą decyzję – walkę z przestępczością powierzone wielokrotnie więzionemu awanturnikowi. Eugeniusz Franciszek Vidocq, bo o nim mowa, sam się zgłosił w prefekturze policji z taką właśnie propozycją i został przyjęty. W myśl zasady, że „tylko zbrodniarz może zwalczyć zbrodnie”, zatrudnił kilku, potem kilkunastu byłych więźniów i rozbudowując siatkę informatorów już w pierwszym roku ujął 812 morderców. Wkrótce organizacja otrzymała nazwę *Sûreté* i w ciągu dwudziestu lat rozwinęła się w załączek policji kryminalnej z prawdziwego zdarzenia. Europa skorzystała z francuskich doświadczeń i systematycznie w innych krajach zaczęły rozwijać się podobne organizacje. Naturalnie nigdy już nie powtórzone sytuacji z zatrudnianiem byłych więźniów w takich celach, a samego Vidocqa i jego ludzi usunięto z policji w 1833 roku, uznając za niedopuszczalne dłuższe wykorzystywanie przestępców w wymiarze sprawiedliwości. Pan Franciszek, którego starsi znają z serialu telewizyjnej francuskiej wyświetlanego w latach siedemdziesiątych, a młodszy z kinowej roli Gerarda Depardieu, przeszedł do sektora prywatnego, zbił okazały majątek i zapisał się w historii jako pierwszy prawdziwy policjant. Ponoć dostarczał pomysły na powieści Honoriuszowi Balzacowi, ale z żalem przyznaje, że Balzaca miał jeszcze przed sobą i nie miał wiedzy w tej kwestii.

W każdym razie, dzięki oryginalnym francuskim rozwiązaniom, w europejskiej świadomości zaistniał specjalista od tropienia przestępstw, a przede wszystkim potrzeba istnienia kogoś takiego. Szybko znalazło to odniesienie w literaturze. Pierwszy w świecie kryminał powstał w Danii. Steen Steensen Blicher, duński

pisarz i poeta, w roku 1829 napisał nowelę „Pastor z Vailbye”, zaliczaną dzisiaj przez rząd duński do dziesięciu największych zdobyczy literatury narodowej. Jest to opowieść na kanwie prawdziwego morderstwa dokonanego w Vailbye w 1626 roku i tragicznej pomyłki sądowej, która doprowadziła do powieszenia niewinnego człowieka. Dziś brzmi to nieco naiwnie: sędzia okręgowy, zakochany bez pamięci w cudownej córce pastora, skazuje przyszłego (i niedoszłego) teścia na śmierć za zabójstwo woźnicy z użyciem łopaty, w charakterze narzędzia zbrodni. Moc dowodów była przytłaczająca, a straszne te wydarzenia rzuciły cień na całe życie niezwykle moralnych i bogobojnych osób dramatu. Pomyłka wyjaśniła się po dwudziestu latach i zakończyła samotne i smutne życie sędziego zawałem. Ten krótki, interesujący literacko utwór, jedną miał wymowę. Zbrodnię, choćby najbardziej oczywistą, należy zbadać tak dogłębnie, by skazany został prawdziwy jej sprawca.

Na arenę wkroczyć musiał wytrawny tropiciel. C. Auguste Dupin urodził się po drugiej stronie oceanu w głowie innego geniusza, Edgara Allana Poe. Przyszedł na świat w opowiadaniu „Morderstwo na Rue Morgue” w 1841 roku i wrócił jeszcze dwukrotnie: „Tajemnica Marii Rogét” (1842) i „Skradziony list” (1844). Dupin był amatorem, a jego motywacja do rozwiązywania zagadek zmieniała się z każdym opowiadaniem. Wykorzystując „ratiocination” (proces logicznego rozumowania), jak to określił Poe, łączył swój ogromny intelekt z wyobraźnią, a nawet z przenikaniem w umysł zbrodniarza. Jego talent był tak wielki, że umiał odczytać myśli swojego towarzysza, bezimiennego narratora wszystkich trzech opowieści. Tak! Doskonale wiemy, kto – na całe szczęście dla nas bardzo obszernie – rozwinął wątek takiego tropiciela zbrodni.

Ale zanim w 1887 roku w powieści „Studium w szkarłacie” po raz pierwszy pojawił się przestępny Sherlock Holmes sir Arthura Conan Doyle’a, Charles Dickens musiał... go nazwać. W 1852 roku opublikowano powieść „Bleak House” (Ponury dom), która w polskim tłumaczeniu ma tytuł „Samotnia”. W charakterystyczne zawirowania życia bohaterów, Dickens

wplótł tu wątek zbrodni i jej pomyślnego wyjaśnienia, do czego przyczynił się inspektor Bucket. Powieść tę wymieniamy jako pierwszą, w której detektyw odgrywa istotną rolę. Ba! Jest to pierwszy utwór literacki, w którym słowo „detektyw” w ogóle się pojawia. Stworzył je pisarz, podobnie jak nasz Adam Mickiewicz wymyślił imię Grażyna. Ale wróćmy do tematu. Dickens pozostawił po sobie inną zagadkę. Zmarł w 1870 roku w trakcie pisania powieści „Tajemnica Edwina Drooda”, a precyzyjniej w trakcie budowania intrygi wokół morderstwa tytułowego bohatera, morderstwa, którego nie zdążył wyjaśnić. Brytyjscy pisarze i literaturoznawcy podjęli wysiłki dokończenia dzieła, jednakże mało satysfakcjonujące i ta literacka łamigłówka kryminalna, jako jedyna chyba, pozostanie nierozwiązana.

Dzięki Dickensowi zatem, Sherlock Holmes nie jest dla nas nikim innym, jak tylko genialnym detektywem, który mocą swojej niebываłej dedukcji osiągał znakomite rezultaty w wykrywaniu wszelkiego rodzaju przestępstw. Podobnie zresztą jak Hercule Poirot, który pozwalał jedynie swoim „małym szarym komórkom” wykonać pracę. Poirot wkroczył na arenę literackiej zbrodni w 1920 roku w powieści „Tajemnicza historia w Styles” i – jak to wielokrotnie powtarzała Agatha Christie – od razu był za stary. Udało się go jednak uwiarygodnić na tyle, że mógł w całym cyklu powieści „pracować” jeszcze na początku lat pięćdziesiątych. Kiedy w roku 1975 opublikowano „Kurtyne”, napisaną jeszcze podczas II wojny światowej, w której Agatha Christie uśmierciła swojego bohatera, w światowej prasie ukazały się symboliczne nekrologi „małego Belga”.

Wiele jest cech wspólnych obu tych panów – byli kawalerami, postrzegani jako zdziwaczali. Sherlock był koszmarnym bałaganiarzem, czym doprowadzał do szału swoją gospodynię, panią Hudson. Hercule przeciwnie – obsesyjnie dbał o porządek i symetrię wokół siebie, a jego starania o własny wygląd czyniły go nieco karykatu-ralnym. Być może była to drobna zemsta pisarki, która uważała Poirota za nieznośnego... Obaj geniusze detektywistycznej sztuki mieli też przy sobie towarzysza, który nie

był zbyt lotny, natomiast wierny i zdolny do akcji bezpośredniej. Doktor Watson spełniał dodatkowo rolę kronikarza dokonań Holmesa i prowadził własną praktykę lekarską. Złośliwa Christie nie dała kapitanowi Hastingsowi podobnych atutów. Kim był i co umiał pozostanie tajemnicą.

Mistrzyni kryminału nie była już taka okrutna dla panny Murple, drugiej swojej detektywistycznej kreacji, wprowadzonej do towarzystwa w 1930 roku powieścią „Morderstwo na plebanii”. Samotna starsza pani, otoczona przyjaciółmi, inny miała system dochodzenia do prawdy. Jej błyskotliwy umysł skupiał się przede wszystkim na ludzkich charakterach, które „studiowała” w swej rodzinnej wsi St. Mary Mead, a znalezione analogie prowadziły ją wprost do rozwiązywania spraw kryminalnych toczących się w innych miejscach. Po mistrzowski zakonspirowana nieodłączną robótką (kolejny sweterek dla dziecka kolejnego siostrzeńca) i „wścibstwem starej panny” potrafiła wydobyć z ludzi zwierzenia, których w żaden sposób uzyskać nie mogli policjanci.

Arthur Conan Doyle i Agata Christie nie byli naturalnie jedynymi twórcami kryminałów, ale wykreowani przez nich detektywi-amatorzy (Sherlock się mocno obruszył w tym momencie) weszli do naszej zbiorowej świadomości, jak niewielu innych. Ich archetypy są powielane w nieskończoność. Skuteczny detektyw – kobieta czy mężczyzna – nadal jest nieco dziwiaczkiem, jak to dzisiaj mówimy, singlem. Pasja wyjaśniania zbrodni nadal jest w nim silniejsza od potrzeby zbudowania życia rodzinnego. Klasycznym Poirotem naszych czasów jest detektyw Adrian Monk, znany zapewne wszystkim z amerykańskiego telewizyjnego serialu. Pojawił się też kolejny niezwykle metodyczny i niezwykle spostrzegawczy policjant-detektyw w starym stylu – William Murdoch z policji w Toronto.

Kanadyjski serial „Murdoch Mysteries” jest osadzony w końcówce dziewiętnastego wieku i stworzony w fascynującym klimacie tamtych czasów. Murdoch jest detektywem ascetycznym, głęboko wierzącym, bardzo inteligentnym. Jest erudyta, dobrze wykształconym w naukach przyrodniczych, wykorzystującym zdobycze

nauki i techniki w swojej codziennej pracy. Pomagają mu w tym: patolog-kobieta, co już jest znakiem naszych czasów, Hasting-Watson szef posterunku policji i młody konstabl, zafascynowany nowatorskimi metodami detektywistycznej pracy. Poza wszelkimi walorami tej serii filmów, w tym nieustających aluzji do przyszłych wynalazków, istotny jest tu właśnie aspekt naukowy.

Wiek dziewiętnasty wykreował ideał detektywa, ale też stworzył prawdziwą policję z jej współczesnymi metodami. Rzesze ówczesnych lekarzy, naukowców i zamożnych dyletantów (określenie to dopiero my uznaliśmy za pejoratywne) myślały nad wypracowaniem sposobów odczytywania śladów, które prowadziłyby jednoznacznie do wykrycia sprawcy. Odciski palców, wszelkie sposoby katalogowania i identyfikacji przestępców, psychologia zbrodniarza, szukanie motywów czy ustalanie alibi – słowem, sprawy dla nas oczywiste narodziły się właśnie wtedy, tworząc zręby kryminologii i kryminalistyki. Wyposażony w taką wiedzę i – powiedzmy – jakiegoś dociekliwego detektywa, biedny sędzia okręgowy z Vailby nie popełniłby swojej tragicznej pomyłki, a jego życie potoczyłoby się błogo u boku pięknej i dobrej córki pastora.

Na szczęście dla nas, zasadą współczesnego kryminału jest właściwe rozwiązanie zagadki i doprowadzenie do sprawiedliwego ukarania winnych. Na szczęście dla nas nowe kryminały wciąż powstają i możemy – zwłaszcza w karnawale – oddać się nieskomplikowanej rozrywce... przede wszystkim jednak czytelniczej. Nie rozleniwiamy się zbyt oglądaniem filmów. Nawet lekka, książka zawsze lepiej nas rozwija.

Katarzyna GWINCIŃSKA

Źródło: Jürgen Thörnwald, „Stulecie detektywów”

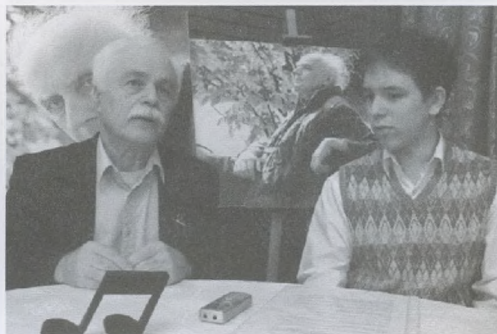


Niedziela z kompozytorem

25 listopada 2012 roku w auli im. Jana Pawła II w Śremie miało miejsce niezwykle wydarzenie muzyczno-kulturalne pod hasłem **Niedziela z kompozytorem Wojciechem Kilar**. Prelekcję poprowadził sam **Zdzisław Sowiński**, długoletni przyjaciel Wojciecha Kilara, który zaprezentował również wystawę fotograficzną własnego autorstwa poświęconą artyście - *Teraz, teraz, teraz, Amen ...* Wystawa ta była pierwszą w Wielkopolsce i trzecią w Polsce. Prelekcja ta, oddana życiu i twórczości Wojciecha Kilara, to nie tylko wydarzenie stricte kulturalne, to przede wszystkim mowa o przyjaźni, miłości i głębokiej wierze w Boga. Wystąpienie zwieńczyła szlachetna muzyka kompozytora w wykonaniu nauczycieli Katolickiej Niepublicznej Szkoły Muzycznej I st. w Śremie, a w tym dzieła tak wielkie, jak Polonez „Pan Tadeusz”, Walc „Ziemia Obiecana”, Walc „Trędowata”, „Pianista”, Wokaliza „Dziewiąte Wrota”, „Smuga Cienia”, „Bilans Kwartalny”. Organizatorem wystawy był miłośnik i popularyzator muzyki Kilara Grzegorz Pierchalski – nauczyciel Szkoły Katolickiej w Śremie.

Na pytanie o najbardziej znanego i cenionego twórcę muzyki filmowej w Polsce, bez większego namysłu, większość z Polaków odpowie Wojciech Kilar. Napisał muzykę do 130 filmów. Kompozytor w swojej pracy często korzysta z domowego fortepianu, choć od młodości nie przepadał za ćwiczeniem na tym instrumencie. Muzyka i dźwięk są nieodłącznymi elementami każdego filmu. Wyrażają i pogłębiają sens pewnych scen, mogą sprawić, że są one śmieszne lub straszne, innym razem trzymają w napięciu, zamyśleniu lub wywołują w nas różnego rodzaju emocje. Jego romans z filmem przyniósł nam wiele godzin wspaniałej muzyki, która nie tylko wzbogaciła filmy najznamienitszych polskich i światowej sławy reżyserów, ale także jako autonomiczne utwory jest słuchana i wykonywana na koncertach

w oderwaniu od obrazu filmowego, do którego została skomponowana. Prędko wyrobił sobie w Hollywood opinię bardzo kapryśnego twórcy, który przebiera w propozycjach i ma swoje wymagania. Producenci i muzyce nie mogli się nadziwić, że Kilar sam orkiestruje swoje partytury. W tym roku obchodzimy 80 urodziny wybitnego kompozytora Wojciecha Kilara. Już od kilku miesięcy w Polsce świętowany jest jubileusz, kompozytora z Katowic wykonując na nadzwyczajnych koncertach jego wielkie dzieła muzyki symfonicznej i filmowej. Kompozytor zawsze podkreślał, że pisanie muzyki filmowej jest dla niego odpoczynkiem w komponowaniu wielkich dzieł, pretekstem do poznania wielu osób, a także sposobem na zarabianie pieniędzy. Dzięki temu nie musi wykładać czy dyrygować wykonaniem własnych utworów. Cieszy się również, że wielkie pieniądze przyszły do niego tak późno, że go nie zepsuły. Muzyka Wojciecha Kilara od lat wzbudza ten sam entuzjazm słuchaczy. Jest rozpoznawalna, sentymentalna, precyzyjna, emocjonalna, wzruszająca. Może dlatego, że artysta budzi w nich to co nie zawsze uświadomione lub o czym nie zawsze chce się pamiętać: że nasze życie jest dane przez Boga i winno być drogą do Niego. A także ze względu na wyraźną melodykę, czyli to, co dla ludzi posiadający tylko talent słuchania jest najbliższe, bo ułatwia reagowanie na muzykę.



Wywiad z Kilaromaniakiem...

Grzegorzem Pierzchalskim

Skąd takie zamiłowanie do muzyki Wojciecha Kilara?

Pierwsza styczność z jego muzyką była przypadkowa. Włączyłem 15 lat temu poemat symfoniczny „Krzesany” w telewizorze przed pójściem do szkoły. Pamiętam, że się spóźniłem na zajęcia, bo chciałem poznać nazwisko kompozytora tegoż jakże przedziwnego stylizowanego na Podhale i Tatry utworu. Przyzwyczajony do słuchania „hitów muzyki klasycznej” przeniósłem się w świat muzyki Kilara i trwa to po dzień dzisiejszy.

Jaki jest Wojciech Kilar według Pana?

Można o Nim powiedzieć, że jest wesoły i spokojny, twórczy, żywiołowy, energiczny. A czasem przychodzi niechciane lenistwo, ale jak sam twierdzi cieszy się darem życia: „Tego, że trzeba przyjmować wszystko – to co złe i to co dobre – jako dar Boży nauczyłem się od mojej ś.p. żony Barbary. To wielki dar, że jestem takim, jakim mnie Stwórca stworzył i to, że w ogóle jestem...” (Kilar, 1997)

Przyglądając się fotografiom Wojciecha Kilara, nie raz wydawałoby się, że patrzymy na zatopionego, zadumanego w myślach mnicha; innym razem, że obserwujemy pogrążonego w twórczym natchnieniu szalonego naukowca; wreszcie, że obcujemy z kimś miłym, łagodnym, cichym, pokornym, dobrym i otwartym na potrzeby drugiego człowieka. Najwyraźniejsze są dziś już siwe, stojące jakby naelektryzowane ładunkiem, włosy. Charakterystyczna jest nieco zgarbiona szczupła sylwetka, zdradzająca czujność, szybkość i witalność sił krzepiących w jego ciele. Oczy natomiast są spokojne, wtopione pełne ekspresji i energii można by rzec ludzko-kocie. Miałem to szczęście kilka razy spotkać się z Wojciechem Kilarem, ale

najbardziej pamiętam datę 20 października 2006 roku kiedy po długiej podróży do Katowic ujrzałem spokojną, ciepłą twarz kompozytora w gmachu Filharmonii Śląskiej. Tego dnia odbywało się pierwsze prawykonanie Sinfonii De Motu na Śląsku skomponowanej na Światowy Rok Fizyki w 2005 roku. Wbiegłem na balkon, gdzie na łożu siedział maestro i poprosiłem o autograf. Wtedy zapytał mnie: jaką długą drogę atom pokonał, by znaleźć się na koncercie? Zdziwiło mnie to bardzo i odpowiedziałem, że z Pyrlandii ze Śremu. Otrzymałem autograf i miłe słowa. Pogratulowałem mu wielkiego zapału do komponowania i życzyłem kolejnych wielkich dzieł?

Z Pana opowiadań dowiedzieć się można, że podróżuje Pan po całej Polsce, by usłyszeć muzykę Kilara na żywo.

Tak, to prawda. Niektórzy przyjaciele, dziewczyna, rodzice mówią, że to choroba muzyczna zwaną Kilaromanią. Potrafiłem cały dzień jechać do Katowic, by posłuchać prawykonania Symfonii Adwentowej czy Veni Creator, trwającego zaledwie 12 minut. Nie zapomnę również wyjazdu na Te Deum w 2008 roku, gdzie jeździłem dwukrotnie między Krakowem a Katowicami, będąc wcześniej w Zakopanem. Wiele by tutaj pisać to dla mnie niezapomniane chwile, czas spędzony w zatłoczonych pociągach, zmęczenie jakie towarzyszyło mi następnego dnia. Jednak tak emocjonalnie łączę muzykę Kilara z moim życiem, że uważam, że takie poświęcenie daje wiele satysfakcji i radości. Pamiętam wyjazd z klasą IVa, a obecnie Via. Jechaliśmy pociągiem osobowym w mroźny dzień do Szczecina na „Muzyczną Panoramę Tatr”. Podczas koncertu przywitał nas serdecznie dyrygent, bo był zaskoczony odległością jaką

przebyliśmy, by wysłuchać utworów Kilara, a mianowicie monumentalnego Krzesanego i kameralnej Orawy. Uczniowie w nagrodę zagrali finał Krzesanego wraz z orkiestrą. To było coś niesamowitego. Moje zamiłowanie przelewam na najbliższe otoczenie, zabierając bliskich tam, gdzie grają Kilara. Wspomnę chociażby Wrocław, Leszno, Toruń, Bydgoszcz, Poznań, Kraków, Katowice, Zielona Góra, Warszawa, Szczecin,

Ma Pan obszerną kolekcję muzyki Wojciecha Kilara. Jakie są Pana ulubione utwory?

To jest bardzo trudne pytanie, bo zwracam uwagę nie tylko na konkretny utwór, ale na jego wykonanie. Mam jeden utwór muzyczny, którego mógłbym do woli słuchać, a jest nim Orawa na orkiestrę kameralną. W swoich prywatnych zbiorach mam ponad 40 wykonań; w tym na trzy akordeony grana przez Morion Trio. Do większych dzieł, do których chętnie powracam to ewenement – Krzesany, Victoria, II koncert fortepianowy, Exodus, Angelus, Magnificat, muzyka filmowa z polskich i zagranicznych filmów. Kolekcję Kilara zbieram od wielu lat pisząc listy, maile, dzwoniąc do instytucji kulturalnych. Zdarza się, że rozmawiam bezpośrednio z dyrygentami, dyrektorami artystycznymi filharmonii na całym świecie, prosząc o nagranie dzieł Kilara. Niedawno udało mi się zdobyć Veni Creator od Agnieszki Duczmal oraz Symfonię Adwentową, która nie została nagrana na żadnej płycie. To samo z Symfonią De Motu, którą otrzymałem od samego dyrygenta prof. Antoniego Wita (Filharmonia Narodowa Warszawa). Dzięki zamiłowaniu do muzyki tworzę własne prezentacje multimedialne oparte na dziełach kompozytora ze Śląska. Niektóre z nich zostały nagrodzone m.in. na Katolickim Międzynarodowym Festiwalu Filmów i Multimedii w Nipokalanowie, czy w Katowicach na 75. urodziny maestra. To wielkie szczęście, że mamy w Polsce takiego wspaniałego, znakomitego i skromnego kompozytora.

Widzę na biurku wiele artykułów, folderów, plakatów koncertowych Kilarze. Co zamierza Pan z tym zrobić?

To są tylko moje plany, ale zamierzam napisać książkę o Wojciechu Kilarze, jak też pokazać mieszkańcom Śremu tę wybitną jednostkę na wystawie fotograficznej. Nie mam jeszcze sprecyzowanego tytułu książki, ale z czasem coś się narodzi. Podobnie jak Kilar nie tworzy się dzieła tak z niczego tylko musi przyjść stosowna chwila, wena, inspiracja. Chciałbym na 80. urodziny Kilara skończyć pisanie i wręczyć osobiście kompozytorowi. Czy to się uda, nie wiem. Niebawem znów pojadę do stolicy Śląska na Noc Kilara by usłyszeć na żywo wielkie dzieła religijne, a kończąc na brawurowym wysoko energetycznym Krzesanym.

Kończąc wywiad co chciałby Pan powiedzieć Kilarowi?

To wspaniały, dobry i życzliwy człowiek. Niewielu jest muzyków, którzy swoją skromnością i pokorą oddają się muzyce tworząc niezwykle dzieła. Kończąc naszą rozmowę, dziękuję Panu Bogu za to, że dał Polsce takiego wspaniałego kompozytora. Życzę Jemu wielu natchnień Ducha Świętego i dalszych sukcesów artystycznych.

J.M.

Wojciech Kilar i Grzegorz Pierzchalski



Komu jeszcze tak się chce?

W poszukiwaniu przyjaźni i współpracy

Już na początku zadają to retoryczne i nieodświeżne pytanie, choć przy okazji bardzo odświeżnej, wręcz wyjątkowej. Bowiem ostatnie spotkanie śremskiego koła Polskiego Towarzystwa Lekarskiego odbyło się wprawdzie z okazji świąt, ale przybył na nie gość niezwykle. Honorowy Członek PTL, a zarazem Honorowy Obywatel Śremski profesor Tadeusz Maliński. Tego wybitnego uczonego nie trzeba bliżej przedstawiać, przecież jego światowe osiągnięcia w dziedzinie medycyny są środowisku dobrze znane. Zaś fakt, że przybył na ten wieczór z tak daleka, bo aż z Ohio, przydaje i tak już wielkiego znaczenia społecznego wszystkim lekarzom, nie tylko tym zgromadzonym na śremskim spotkaniu.

Prezes Koła PTL w Śremsku Barbara Siwińska nieustrudzenie, przez lata, gromadzi wokół Towarzystwa przyjaciół, autorytety w swojej

dziedzinie i ludzi chętnych do współpracy na rzecz otoczenia. Jako motto tego wieczoru wybrała myśl Cyserona, że jeśli chcesz mieć przyjaciela, to najlepszym na to sposobem jest nim zostać. W realizacji tej dewizy jest niezwykle konsekwentna. W ostatnich latach uwidacznia się to choćby na przykładzie zaskakującej działalności wydawniczej koła dla dzieci. Zaczęło się w 2009 roku i potoczyło dalej. I tak łączny nakład tych sygnowanych przez PTL bajek sięga niemal trzydziestu tysięcy. Wszystkie wyprodukowane non profit, rozdawane dzieciom w przedszkolach, szkołach, szpitalach.

Co roku przybywa nowa pozycja. Zaś w roku 2012 przybyły aż dwie takie książeczki. Jedną z nich jest realizacją marzenia Barbary Siwińskiej, aby kiedyś jeszcze mieć w ręku bajkę, którą zapamiętała z wygnającego dzieciństwa – *Pan Termometr zachorował*.

Dzieci z Zespołu Pieśni i Tańca Ludowego „Modraki” z GOK w Tarnowie Podgórnym



Doświadczenie zdobyte w działalności edytorskiej pozwoliło jej dotrzeć do spadkobierców autora pana Tadeusza Kwiatkowskiego, a także namówić przyjaciół i znajomych, aby mieli w tym współudział, finansując w różnych kwotach – większych i mniejszych – to przedsięwzięcie.

Druga pozycja *O tym jak duszki dobroduszki żyrafie pomogły*, to już kontynuacja cyklu tworzenia rozpoznawalnych znaków związanych z przeszłością i dniem dzisiejszym lokalnych społeczności. Zaciekawia dzieci, budzi przywiązanie do tradycji. Autorką tekstów do wszystkich tych pozycji jest jarocinianka, zamieszkała w Szczecinie poetka i pisarka Aleksandra z Robakowskich Petrusiewicz. Ilustruje je, stale doskonaląc swój warsztat, anesteziolog śremskiego szpitala doktor Ryszard Zawadzki. Barbara Siwińska zaś zachęca, dopilnowuje a przede wszystkim znajduje sponsorów. Zawsze się jej jakoś udaje pokonać tę przeszkodę, to *condicio sine qua non*.

Świąteczny wieczór był w pewnym sensie konsekwentnym odzwierciedleniem zasady, że dobrem należy się dzielić. Każdy na to zasługuje, a dzieci chyba najbardziej. One zaś potrafią się odwdziżyć w sposób niezwykle wzruszający. Nie pamiętam dawno takiego poruszenia jakie

sprawiły dzieci z Dziecięcego Zespołu Pieśni i Tańca Ludowego „Modraki” z GOK w Tarnowie Podgórnym – Dom Kultury w Przeźmierowie. Ich kolędowy koncert dał taki zastrzyk energii, że warte zachodu wydały się wszystkie trudy minionego roku. To uderzenie swojskości i magii zrobiło wielkie wrażenie na profesorze Malińskim. Wrażenia bycia u siebie, pośród swoich, było najlepszym darem, jakie mogli mu śremscy przyjaciele ofiarować.

W tej atmosferze jakże szczególnie przyjmowano akt uhonorowania członków koła odznakami – *Bene Meritus* – Barbary Skibskiej dyrektor Zakładu Pielęgnacyjno-Opiekuńczego w Śremie, *Zasłużonemu Polskie Towarzystwo Lekarskie* – profesor Zofii Niemir z Kliniki Nefrologii Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu i dr. med. Wojciecha Romanowskiego dyrektora Poznańskiego Ośrodka Reumatologicznego w Śremie kontynuującego dzieło ojca Wiesława, który stworzył ten ośrodek oraz dyplomem – *Przyjaciel Polskiego Towarzystwa Lekarskiego* – Anny i Andrzeja Zawadzkich oraz równie sercem oddanej autorki Aleksandry Petrusiewicz. Na dowód tego Aleksandra Petrusiewicz przesłała piękne życzenia wraz z płytą kolędową, którą ze wzruszeniem przyjął prof. Maliński.

Wszyscy zaś mieli okazję dołożyć swoją cegiełkę biorąc udział w aukcji pięknych, drewnianych aniołów, wykonanych w pracowni plastycznej śremskiego ZPO. Zebrane pieniądze, jak co roku, były przeznaczone na rzecz Zespołu Szkół Specjalnych im. Marii Grzegorzewskiej w Śremie.

Z ramienia ZGPTL odznaczenia wręczała Barbara Siwińska, w asyście Adama Lewandowskiego – burmistrza Śremu, który każdego roku jest obecny na tych spotkaniach środowiska lekarskiego, doceniając jego codzienną pracę dla mieszkańców. I te harmonijne poczynania Barbary Siwińskiej, której ciągle jeszcze tak się chce szukać przyjaciół i zjednywać współpracowników dla swoich pomysłów.

Barbara NOWICKA



Powroty i przywiązania

Dwadzieścia lat minęło ...

Te dwadzieścia lat w gmachu przy ulicy Mickiewicza było wyjątkowe i dla tożsamości Muzeum Śremskiego i dla sposobu funkcjonowania tej placówki w śremskiej kulturze, wiedzy o regionie, jego historii i obyczaju. Symbolem tego wszystkiego jest zaproszenie do wystawienia swoich prac plastycznych wrocławianki Anki Mierzejewskiej. Właśnie jej osoba łączy zarówno to co w tym miejscu niegdyś było i współczesny przekaz edukacyjny w dziedzinie sztuki.

Szacowne mury muzeum były przecież przed II wojną światową domem rodziny Mierzejewskich, która po latach ze wzruszeniem nawiązała z nim kontakt w osobie Bogny Mierzejewskiej. Przekazała ona czytelnikom Gazety Śremskiej wiele ciekawych wspomnień o Śremie, okolicach, ówczesnych rodzinach i wydarzeniach.

Jakimś symbolem tego dystansu czasowego była prezentacja obrazów Barbary Houwalt w gmachu głównym. Był tam Śrem nostalgiczny, zatrzymany w czasie. Na zawsze utrwaloła chwila, którą mogła rozpoznać i odczuć pani Bogna. A potem przejść przez dziedziniec szczęśliwego niegdyś dzieciństwa, aby spotkać się z przyszłością. Wystawą Anki Mierzejewskiej zatytułowaną „Moi mężczyźni”.

Można w tej ekspozycji odnaleźć wiele znaczeń. Dobór artystów, których podziwia jest jedyny w swoim rodzaju, wyjątkowy. Wspólny jest jednak podziw dla tradycji malarstwa, której artystka jest konsekwentnie wierna. Jej na wskroś nowoczesne prace, nieustannie zaskakujące tematyką wystawy, są przecież także świadectwem przywiązania do tego nieprzemijającego rodzaju sztuki, wobec której

nowoczesne techniki wideo są jedynie małą odroślą wiecznie zielonego drzewa. Wiecznie żywego dzięki korzeniom właśnie. Choć niektóre jej obrazy przewrotnie symbolizują jakby plamy kolorowych pikseli, to dają one efekt jakby nieskończenia obrazu. Robią miejsce dla wyobraźni odbiorcy. Patrz, patrz i patrz... Wtedy jak w płynących chmurach zawsze stwarzać się będą coraz to nowe wyobrażenia.

Zestaw obrazów poświęconych dziesięciu osobistościom ze świata sztuki jest też czymś w rodzaju credo malarki, performerki Anki Mierzejewskiej. Ujrzały na wystawie w Barcelonie Bjarne Melgaard, zachwycił ją prawdziwością, wielkim formatem, wibrującym kolorem. Namalowała go tak jak na zdjęciu, w marynarce w różowiułkim kolorze. Nieco dwuznaczny zielony napis mówi o tym, że ktoś pragnie posiadać Bjarna Melgaarda, „a ja marzę, żeby posiadać jego obraz” – komentuje w przypisie autorka.

Niemiec Jonathan Messe imponuje jej odwagą. To malarz, który jedną kreską potrafi namalować arcydzieło. Rozpoznawalny w swojej charakterystycznej dresowej bluzie i ciemnym długim włosom sprowokował artystkę do przedstawięcia go bez włosów lub jako blondyna. Z zawieszonym jakby w powietrzu pytaniem – co by było gdyby dokonać zmiany, pójść za swoją odwagą?

Peter Doig z Trynidadu olśnił ją na wystawie w Paryżu, bo dzisiaj już nikt tak nie maluje, tradycyjnie bez kompleksów. Przedstawiła go z pilotem w rękę, bo w swoim Studio Film Club puszcza ludziom filmy i maluje do nich plakaty.

Manolo Valdes z obrazami w kolorach

hiszpańskiej ziemi i domieszką błękitu, robi kolaże, rzeźbi, maluje, cały składa się z tych pracowitych, nigdy nie spoczywających rąk. Kłębą się one na obrazie Anki Mierzejewskiej w błękitnym wirze ciągłego tworzenia.

Andy Warhol budzi jej podziw za to, że stworzył sam siebie, pokonał nieśmiałość. Geniusz, który uświadomił sobie, że bycie geniuszem nic nie znaczy, jeżeli nikt nie będzie o tym wiedział. Dlatego wybrała tu symbol tego artysty, jego wizerunek w blond peruce, dzieło, które dzień po dniu stwarzał i pielęgnował.

Picasso to dla niej artysta, który wciąż się rozwijał, nie był autorem jednego obrazu, popchnął naprzód historię sztuki jak nikt w erze nam współczesnej. Tu idzie na przód po plaży pod parasolem z Françoise. Ale też i ten z fotografii Mana Reya w towarzystwie Dory Mar. Nowe media. Nowe materiały, nowe zadania.

Patric Heron jest w oczach Anki doskonałością, akrobatą malarstwa. Jak mówi, jego prace są pełne przestrzeni, światła, wolności. Wszystko u niego lśni i jaśnieje. Dlatego portret Patricka z żoną Delią ma takie bursztynowe kolory, lśni. Malarka, podpisana tu swoim kryptonimem XY, dodała do tej kompozycji portret swojej córki.

Co ciekawe – dwukrotnie jest tu miejsce dla Mana Reya, raz za urodę zdjęcia, na którym Anka go zobaczyła i po raz drugi za fotografię Picassa z Dorą Mar. Choć jak wyjaśnia, „nie znosi pseudo myślicieli w czarnych pelerynach typu Przybyszewski”. Ale przecież dodaje, że może ten Ray jednak coś zrobił.

I wreszcie Włodzimierz Pawlak podziwiany przez artystkę za ekspresję, kolor, kreskę i ciągłe poszukiwanie. Na obrazie Anki ukazany jest jak wchodzi przez okno do swojej pracowni. Wszystkiego można się po nim spodziewać... To chyba też i droga Anki Mierzejewskiej, zaskakującej, poszukującej, ale pewnej swych korzeni.

Barbara NOWICKA

Anka Mierzejewska, malarka, performerka. 1991/92 stypendium i studia The College of St. Catherine w St. Paul. Minnesota USA. 1992/98 – pracownia litografii prof. Basaj i prof. Frąckiewicza ASP Wrocław. 1998 dyplom – malarstwo sztalugowe, pracownia prof. Konrada Jarodzkiego. 2007 stypendium Ministra Sztuki i Dziedzictwa Narodowego, 2003 2. miejsce i 8 wyróżnień w konkursie Dobra wiadomość w fotografii, MCK Warszawa. Kilkanaście wystaw zbiorowych i kilkanaście indywidualnych. Wystawa „Moi mężczyźni”, Muzeum Śremskie 30 września 2012r.



Okruchy dnia czyli proza życia

Z górnej półki

Kamerdynera Stevensa znamy wszyscy z przepięknej roli Anthonego Hopkinsa w filmie Jamesa Ivory'ego z roku 1993. Twórcy filmu zbudowali historię, której tak naprawdę, *expressis verbis*, w powieści nie ma. Ale to nic, książka Kazuo Ishiguro, składa się bowiem z samych niedopowiedzeń i właśnie między wierszami należy szukać sensu tej trzymającej za trzewia powieści.

„Okruchy dnia” to właściwie spowiedź życia, strumień wspomnień człowieka, który sam siebie uważa za prawdziwego angielskiego dżentelmena w każdym calu.

Stevens przez wiele lat pracował jako kamerdyner, naczelny służący, w znaczącym lordowskim domu w Wielkiej Brytanii. Przed II wojną światową, w domu swego pryncypała, stał się bezpośrednim świadkiem wielu wydarzeń, spotkań i dyskusji, odnoszących się do losów

imperium. Jest z tego tak samo dumny, jak z doskonałej, *very British*, powściągliwości, którą się bezzmiernie chlubi. Powieść wypełniają rozważania nad zawodową „godnością”, którą Stevens rozumie jako umiejętność zachowania zimnej krwi zawsze i wszędzie, niezależnie od okoliczności i wykonywania w sposób nieskazitelny swoich obowiązków. Jak tłumaczy przygodnie spotkanemu słuchaczowi, „godność polega na tym, by nie obnażać się publicznie”. A zatem, podając porto i cygara panom w salonie, w żadnym razie nie dać po sobie poznać, że właśnie dowiedziałeś się o śmierci ojca... Rozważania te przeplata narracja dostarczająca czytelnikowi barwnych szczegółów życia w przedwojennym szlacheckim dworze, a także okrucich informacji na temat zdarzeń politycznych tamtych czasów.

Historia rozpoczyna się właściwie w momencie, kiedy Stevens wyrusza, pierwszy raz w życiu, na



kilkudniową wycieczkę samochodową do panny Kenton, swojej współpracowniczki sprzed wielu lat. Czytelnik podróżuje więc z kamerdynerem podwójnie, podziwiając krajobrazy słodkiej Anglii, jak również coraz bardziej zagłębiając się w podróż życia głównego bohatera. I tak, jak Anglia wydaje mu się piękna, tak życie Stevensa okrutnie smutne....

Nie słyszymy wprawdzie ani słowa narzekań, wręcz przeciwnie, ciągła afirmacja obowiązku i pracy na rzecz innych (lorda), nieustające dążenie do doskonałości, ani chwili dla siebie. Chciałoby się rzec: wstrząsające dążenie do doskonałości, wstrząsająca obowiązkowość.... Wstrząsająca powściągliwość!

A życie – cienkim, wijącym się między zielonym polami strumyczkiem – mija nas i ucieka...

Piszę „nas” nieprzypadkowo. Bowiem, chociaż postać kamerdynera Stevensa wydaje się należeć już do odległych czasów, jego los bywa często naszym udziałem. Historia opowiedziana przez Ishiguro jest jedną z tych, z którą boleśnie czytelnik się utożsamia. Żal za chwilami, które minęły bezpowrotnie, momentami przegapionymi... Brak odwagi, by odwrócić bieg rzeczy, koncentracja na sprawach codziennych, drobiazgach wypełniających życie, utrata umiejętności patrzenia w sposób, który doradził Małemu Księciu Lis („dobrze widzi się tylko sercem”...)... Biedny ten Stevens. I biedni my... Tak, „Okruchy dnia” to mądra i piękna książka.

A Kazuo Ishiguro napisał ją po mistrzowsku, jak zresztą wszystkie swoje powieści. Kim jest ten Brytyjczyk o trudnym nazwisku? To syn

japońskiego naukowca, który wprawdzie urodził się w kraju rodziców, ale od najwcześniejszego dzieciństwa mieszkał i kształcił się w Wielkiej Brytanii.

Jego utwory wyróżniają się klimatem i elegancką stylistyką, należą do literatury zdecydowanie poważnej, zarazem jest to lektura cudownie wciągająca. Kazuo Ishiguro jest bardzo docenionym pisarzem, jego utwory obsypano różnymi brytyjskim wyróżnieniami, za „Okruchy dnia”, swoją trzecią książkę, autor otrzymał Booker Prize (w 1989 roku), „Malarza świata ułudy” zaś nominowano do tej nagrody. Mnie, oprócz „Okruchów...”, podobają się szczególnie jeszcze dwa utwory Ishiguro, „Kiedy byliśmy sierotami”, czerpiąca z formy powieści kryminalnej, wartko opisana historia poszukiwania tożsamości przez brytyjskiego detektywa Christophera Banksa w Szanghaju oraz trochę przerażająca opowieść o miłości i innych demonach,

„Nie opuszczaj mnie”, również nagrodzona Bookerem (w 2005 roku).

Dwie z tych pozycji zekranizowano i może nam się wydawać, że skoro widzieliśmy film, to nie ma co sięgać po książkę. Nic bardziej mylnego, rytm tej pięknej literatury, wielowarstwowość powieści, zabierze nas do zupełnie innych sfer.

J.A

Holy Motors

Kino niewidzialne, czyli Notatki o filmach...
mało znanych, zapomnianych, trudno dostępnych, egzotycznych, nietuzinkowych,
a przede wszystkim o filmach wartych obejrzenia

To był chyba najbardziej ekstrawagancki film ostatniego festiwalu w Cannes, surrealistyczny i szalony. Uznany przez najważniejsze media filmowe za jeden z najważniejszych obrazów 2012 roku. Jednakże wizja francuskiego reżysera, Leosa Caraxa może albo zachwycić albo denudować. Jedno jest pewne – nie da się obok „Holy Motors” przejść obojętnie. To film genialny, pulsujący emocjami, prześmiewczy, groteskowy, miejscami obsceniczny, ale żywy, magnetyzujący, motoryczny...

Filmy Leosa Caraxa można było w Polsce oglądać nie tylko w kinach studyjnych, czy na festiwalach, ale nawet w publicznej telewizji. Tak było w przypadku najsłynniejszego obrazu Caraxa – „Kochanków z Pont-Neuf”, który otworzył Juliette Binoche drzwi do wielkiej kariery. Z nowym tytułem reżyser powraca po trzynastu latach nieobecności na srebrnym

ekranie. I jest to niewątpliwie powrót w wielkim stylu!

„Holy Motors” to zapis surrealistycznej wędrowki, a raczej przejażdżki białą limuzyną przez zamroczony fantazjami Paryż. Poznajemy głównego bohatera, tajemniczego mężczyznę – Oscara (doskonały Denis Lavant), który na pierwszy rzut oka to typowy biznesmen, czy też milioner. Limuzynę prowadzi starsza, małomówna i elegancka kobieta Celine (Edith Scob, znana z „Wierności” Andrzeja Żuławskiego). To ona właśnie informuje pana Oscara o kolejnych, zaplanowanych na ten dzień spotkaniach. Nie byłoby nic w tym dziwnego, ot normalny dzień biznesmena, tyle, że tył limuzyny to garderoba przepełniona rekwizytami teatralnymi, strojami, przyborami do makijażu.

Każde spotkanie (jest ich dziewięć) to kolejne wyzwanie dla Oscara, który za każdym razem wciela się (samemu uprzednio charakteryzując się odpowiednio) w rozmaite, zupełnie różne



role. Ekskluzywna limuzyna jest wehikułem akcji „Holy Motors” to nie tylko garderoba, ale także schronienie, w którym pan Oscar studiuje swoje role, i w której dochodzi do kontrolowanej przemiany jego tożsamości.

Tak więc na początek staje się przygarbiona staruszka, żebrząca na ulicach Paryża, później ubrany w strój do mappingu walczy z niewidzialnym przeciwnikiem, gdzieś w wirtualnej przestrzeni; jako odrażający, bezdomny i dziki karzeł porwya modelkę z sesji zdjęciowej; strzela do bankiera; wbija nóż w szyję mężczyzny robiącego interesy z Chińczykami; udaje umierającego wujka przed zrozpaczoną młodą kobietą; jest ojcem zakompleksionej nastolatki; matkuje dwóm małpom; spotyka ukochaną kobietę...

Tak, to wszystko być może brzmi szalenie i tajemniczo i takie jest właśnie „Holy Motors”. Leos Carax opowiada tu historie w duchu postmodernistycznym, cytując przy tym obficie klasyków kina i literatury. Pierwsze skojarzenie to wędrówka Leopolda Blooma w „Ulissiesie” Jamesa Joyce’a, porwanie pięknej modelki to scena z „Dzwonnika z Notre Dame”, a sama sesja zdjęciowa z infantylnym fotografem krzyczącym cały czas, jak w ekstazie słowo „piękno” odsyła nas do „Powiększenia” Michelangelo Antonioniego; w jednej ze scen rozbrzmiewa temat muzyczny z „Godzilli” z 1954 roku; nie mówiąc o dialogu umierającego wujka z krewną,

wyjętego żywcem z „Portretu damy” Henry’ego Jamesa. I takich smaczków jest tutaj więcej.

Postać Oscara jest tutaj klasycznym *everymen’em*, z którym odkrywamy ponownie znaczenie słynnej parafrazy życia jako teatru. Najnowszy obraz Francuza to także piękny list miłosny do teraźniejszości, przeszłości i przyszłości kina; zabawa konwencjami. Carax spreparował nam egzotyczną mieszankę romansu, komedii, kina „noir” destylując ją w idealny koktajl filmowy, zapraszając do refleksji na temat, kim jesteśmy, jacy jesteśmy odnajdując się w różnych okolicznościach.

Oto „Holy Motors” film wielki, genialny, który od samego początku mimo, że jest irytujący, bo do końca niezrozumiały, frustrujący, anarchiczny wciąż widza dogłębnie. Niektórzy jednak będą czuć się zaniepokojeni, ale niewielu według mnie będzie się nudzić. Zapewne każdy zinterpretuje go inaczej...i każda z tych interpretacji będzie prawidłowa..bo czy nie jest tak właśnie jeśli mówimy o sztuce?

Przed seansem w Cannes, Leos Carax niewiele wyjaśnił publice. Powiedział, że jeśli będzie to dla niektórych koszmar, to on ma nadzieję, że przynajmniej okaże się koszmarem interesującym. Po seansie śmiało można powiedzieć, że był szalenie interesujący. Był genialny! I tą tajemniczą przejażdżkę limuzyną będziemy chcieli podjąć ponownie, ja zrobiłam już to dwa razy i z pewnością zrobię to jeszcze nie raz! Bardzo, bardzo gorąco polecam!

Joanna CHMIELEWSKA

„Holy Motors”

produkcja: Francja, Niemcy

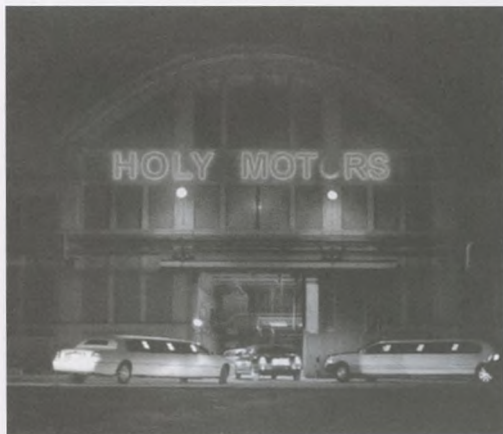
reżyseria: Leos Carax

scenariusz: Leos Carax

obsada: Denis Levant, Edith Scob, Eva Mendez, Kylie Minogue, Michel Piccoli

czas trwania: 110 min

data premiery: Polska – 11 stycznia 2013; świat – 23 maja 2012





1. Bądźmy wdzięczni za
doświadczenie, skąd-
kolwiek przyszło.
2. Samodyscyplina jest
w życiu najważniejsza.
3. Co słowo nie dopowie
to muzyka dogra.
4. Kiedy mówimy, nie widać
błędów ortograficznych.
5. X prezentuje tak
wysoki poziom, że
trudno go dojrzeć.
6. Mogą zaistnieć
okoliczności nie będące
obiektem marzeń.
7. Oj, zdałyby się
językowi cugle !

domniemania : Eugeniusz A. Ferster
ilustracja : Stanisław Mrowiński

O słynnych malarkach...

„Tak naprawdę potrafimy mówić
tylko przez nasze obrazy”

Vincent Van Gogh

Niedawno trafiłam w muzeum sztuki w Lipsku na interesującą książkę o twórczości 50 artystek różnych narodowości w dziejach sztuki nowożytnej poczynając od renesansu, a kończąc na czasach współczesnych (50 Künstlerinnen die man kennen sollte).

Tak się składa, że GŚ umieściła już moje artykułki o dwóch z tej listy – Sofonisbie Anquissoli i Artemizji Genthileschi – Włoszkach, żyjących i tworzących w renesansie i baroku. Logicznie byłoby napisać o kolejnych trzymając się chronologii (o Rosalbie Carrierze wspominałam w tekście o pastelu), ale postanowiłam opowiedzieć najpierw o malarkach zdecydowanie bardziej znanych, których twórczość wpłynęła na sztukę najnowszą i którym dane było realizować własne wizje i przemyslenia bez konfrontacji z analogicznymi trendami w dziełach mężczyzn. Mam na myśli artystki, które nie musiały udowadniać, że potrafią dorównywać kolegom podczas wystaw i konkursów akademii, które były znane, podziwiane, a ich prace kupowane do galerii i muzeów.

W pierwszej części chcę przybliżyć: Fridę Kahlo, Georgię O’Keeffe i Tamarę Łempicką. Wszystkie żyły w podobnym przedziale czasowym lecz ich twórczość była diametralnie różna.

Frida Kahlo (1907-1954) właściwie Magdalena Carmen Frieda Kahlo y Caldero znana, z burzliwego i tragicznego życia, urodziła się w Meksyku w rodzinie niemieckiego emigranta żydowskiego pochodzenia, malarza i fotografa. Matka miała korzenie hiszpańskie i indiańskie. Frida jako 6 letnia dziewczynka zachorowała na

polio i choroba wpłynęła na jej kalectwo (krótsza i słabsza prawa noga). Usiłowała to ukryć nosząc barwne i ekscentryczne stroje nawiązujące do ludowych, meksykańskich. Mając lat kilkanaście (1925 r.) została ofiarą tragicznego wypadku (zderzenie ciężarówki z tramwajem), po którym już nigdy nie wróciła do zdrowia. Złamała kręgosłup, obojczyk, miednicę, żebra, zwichnęła ramię. Chora noga została połamana w 11 miejscach, a żelazny pręt przebił jej brzuch i macicę. Cudem przeżyła. Na 3 miesiące zamknięto ją w gipsowej formie. Przeszła 35 operacji. Wtedy to uświadomiła sobie, że nie ma szans na preferowane wcześniej studia medyczne i, że w jej życiu dokonał się zwrot. Ojciec zamówił dla niej specjalną sztalugę, żeby mogła malować w łóżku. Zaczęła od autoportretów, które będą stanowiły zasadniczy temat jej malarstwa. „Nigdy nie maluję fikcji, przedstawiam moje własne życie” – deklarowała. W tradycyjnym rozumieniu nie były to typowe portrety. Pełno w nich symbolicznych roślin i zwierząt a także dziwnych stworów nawiązujących do tradycji kultury meksykańskiej i indiańskiej. Wyczuwalnym i powtarzającym się motywem było cierpienie i ból fizyczny. Ówczesni znawcy sztuki zaszukadkowali jej malarstwo do sztuki naiwnej, prymitywnej, inni doszukiwali się powiązań z surrealistami.

W 1927 r. poznała i przedstawiła 4 prace największemu wówczas artyście Meksyku jakim był Diego Rivera (studiował w Paryżu, stolicy sztuki i zaliczał się do ekspresjonistów). Mistrz pozytywnie ocenił obrazy Fridy, stał się częstym gościem w Niebieskim Domu, jej domu rodzinnym w Mexico City, zaczął ją douczać.

Został jej przewodnikiem duchowym i artystycznym. W 1929 r. zawarli małżeństwo. Był to związek burzliwy, wręcz toksyczny ze względu na porywcze charaktery małżonków. Frida pragnęła dziecka, ale trzykrotnie poroniła, gdyż w wypadku ucierpiała także jej drogi rodne. Powstało wówczas kilka dramatycznych obrazów nawiązujących do tego wydarzenia, przejmująco naturalistycznych. Oboje mieli liczne romanse. Biseksualna Frida na krótko związała się ze znaną piosenkarką Josefine Baker, Diego uwiódł jej młodszą siostrę co bardzo zraniło malarkę. Po 10 letnim związku artyści się rozwiedli, by po roku znów do siebie wrócić i ponownie wziąć ślub.

Frida i Diego należeli do Partii Komunistycznej. Malarka przez całe życie twierdziła, że urodziła się w 1910 r., roku wielkiej meksykańskiej rewolucji, żeby jednoznacznie utożsamić się z tym wydarzeniem. W 1937 r. zaprosili do siebie Trockiego z żoną, który starał się o azyl polityczny w Meksyku. Wkrótce rozeszły się pogłoski o romansie Fridy i rewolucjonisty, a dwa lata później on został zamordowany w tajemniczych okolicznościach.

Artystyczne życie malarki układało się pomyślnie, miała wystawy w Nowym Jorku (1938) i Paryżu (1939) i choć nie przyniosły jej wówczas obecnej sławy, została zauważona. Wystawiała z surrealistami, ale nie podzielała ich artystycznych doktryn.

Rok po śmierci ojca (1941) zaczęła pisać pamiętnik utrwalający jej duchowe rozterki ale i pomysły artystyczne. W 1950 r. przeszła kolejnych 7 operacji kręgosłupa i musiała poruszać się na wózku inwalidzkim. W szpitalu spędziła 9 miesięcy. Zażywała wiele środków przeciwbólowych i ich nadużycie oraz zator płucny stały się przyczyną jej śmierci w 1954 r.

Kilka dni wcześniej zanotowała w pamiętniku: „Ufam, że odejdę bez żalu i że już tu więcej nie wrócę – Frida”

Urna z jej prochami spoczęła w Niebieskim Domu, w którym w 1959 r. otwarto muzeum. Domem zajmował się do końca Diego, który zawsze powtarzał, że żona była najważniejszą osobą w jego życiu.

Po śmierci Fridy zainteresowały się jej twórczością ruchy feministyczne uznając ją za jedną z najciekawszych kobiet XX w. Światową sławę przyniosła jej biografia napisana w 1983 przez Handena Herrere i film nakręcony wg tejże – „Frida” z pamiętną rolą Salmę Hayek z 2002 r. Film zarobił 58 mln dolarów.

Kolejne wystawy były oszałamiającym sukcesem artystycznym i komercyjnym. W 2005 r. w Londynie pokazano 87 prac artystki. Rok później jej obraz „Roots” został sprzedany za 5,6 mln dolarów, co jest najwyższą ceną uzyskaną za pracę artysty latynoskiego.

W roku 2010 Bank Meksyku wydał banknot 500 peso z portretem Fridy. W tym też roku w „100 rocznicę urodzin” pokazano w Berlinie 120 obrazów i szkiców Fridy Kahlo w prestiżowym muzeum Walter Gropius-Bau, na której to wystawie miałam przyjemność być. Ilość zwiedzających była imponująca, trzeba było stać w długich kolejkach. Mogło to oczywiście być następstwem świetnie przygotowanej reklamy, ale i zachwytu odbiorców. Sama miałam mieszane uczucia przed wejściem na wystawę. Znałam wiele prac z reprodukcji, ale bezpośredni kontakt zawsze jest zaskakujący. Najbardziej podobały mi się autoportrety z różnymi atrybutami, szczególnie seria z małpkami – symbolami żądzy i pragnienia w kulturze Meksyku, tak jej bliskiej.

Druga z interesujących malarek Georgia O'Keeffe (1887-1986) także pochodzi z drugiej półkuli i jej barwne życie stało się scenariuszem kolejnego filmu o cechach fabularyzowanej biografii. Rolę artystki zagrała świetna Joan Allen.

Georgia urodziła się na małej farmie w stanie Wisconsin jako pierwsza dziewczynka z 7 rodzeństwa. Ojciec był pochodzenia irlandzkiego, matka miała korzenie węgierskie. Rodzicom, mimo biedy zależało na kształceniu dzieci, a zauważywszy u 12-letniej Georgii talent do rysunku, pomogli go rozwijać. Przeniósł się do ciotki do Madison, gdzie chodziła do klasy rysunku. Tam zaopiekowała się nią zawodowa malarka i namówiła na studia w prestiżowym Art Institute w Chicago (1905 r.). Trzy lata później

wygrała konkurs na martwą naturę, a nagrodą był wyjazd na plener nad jeziorem George w stanie Nowy Jork. Namalowała tam wiele akwareli z natury i uświadomiła sobie, że przyroda jako motyw malarski jest jej szczególnie bliska.

Od jesieni 1908 r. pracowała jako nauczycielka rysunku w niedużym miasteczku w Teksasie, prawie nie malowała. W 1912 r. pod wpływem teorii Artura Wesleya Dowa głoszącego swobodę wyboru światła i koloru w malarstwie, którego poznała podczas zajęć szkoły letniej w Virginia University, zaczęła malować ponownie. Wykładała na Uniwersytecie Teksaskim. W 1916 r. jej nowojorska przyjaciółka zaniósła rysunki Georgii do Galerii 291 Alfreda Stieglitza, znanego fotografa, który się nimi zachwycił i wystawił bez wiedzy autorki. Dopiero rok później poznali się osobiście, gdyż Alfred wystawiał jej teksaskie akwarele. Zaprosił ją też do swego domu nad jeziorem George, zorganizował pracownię w NYC. Pejzaże nad jeziora należą do najciekawszych z tego okresu twórczości. Stieglitz zakochał się w Georgii, opuścił żonę, a po uzyskaniu rozvodu ożenił się z nią (1924 r.). Dzięki niemu malarka poznała artystyczne środowisko Nowego Jorku. Zimy spędzali na Manhattanie, lato i jesień nad jeziorem. Alfred już od 1917 r. często fotografował Georgię, do 1936 r. zrobił 300 portretów i aktów żony. Wystawa w roku 1921 pokazująca artystkę w zmysłowych, erotycznych pozach stała się skandalem obyczajowym, ale zwróciła uwagę koneserów sztuki. Obrazy olejne

Georgii z tego okresu są powiększeniem form kwiatowych. Po wystawie w r. 1923 okrzyknęto ją czołową artystką amerykańską. Pokazała tu słynny „Czarny irys” z elementami waginalnymi. Pięć lat później sprzedała 6 obrazów z serii „calla lila” za 25000 dolarów co było najwyższą ceną uzyskaną za dzieła żyjącego artysty.

Od 1928 r. często wyruszała w podróż by znaleźć inspiracje do kolejnych obrazów. Wyjechała do Taos i Santa Fe w Nowym Meksyku. Zauroczyła ją koloryt Południa. Malowała architekturę i pustynne pejzaże, zbierała czaszki i kości zwierząt tworząc z nich kompozycje łączące realizm i abstrakcję. Jesienią wracała do Nowego Jorku. Stan taki trwał przez 20 lat, aż do decyzji przeniesienia się na stałe na południe USA.

Niewątpliwie przyczyniła się do tego śmierć męża w 1946 r. Mimo że małżonkowie często przebywali osobno, Georgia darzyła Stieglitza uczuciem i szacunkiem. Już w roku 1940 kupiła dom „Ghost Ranch” blisko Abiquin w Nowym Meksyku, nauczyła się prowadzić samochód, godzinami jeździła po okolicy szukając motywów do obrazów.

W tym czasie miała dwie duże wystawy retrospektywne: w Art Institute w Chicago i MOMA w Nowym Jorku. Była pierwszą kobietą, która dostąpiła zaszczytu wystawy w tym prestiżowym muzeum.

W 1962 r. została wybrana do American Academy of Arts and Letters, a kolejną dużą

Frida Kahlo



G.O'Keeffe



wystawę retrospektywną przygotowała dopiero 8 lat później. Na początku lat 70 zaczęła tracić wzrok i w roku 1972 przestała zupełnie malować. Rok później zatrudniła wędrownego garncarza Juana Hamiltona do wykonania kilku napraw w domu, a wkrótce potem na stałe. Nauczył ją technik ceramicznych, czemu się poświęciła. Juan stał się jej opiekunem i towarzyszem. Pomógł jej napisać książkę (1976 r.), został jej menadżerem do końca życia. W tym też roku prezydent G.R.Ford odznaczył ją Medalem Wolności, a w r. 1985 Ronald Regan – Narodowym Medalem Sztuki.

Georgia O'Keeffe zmarła w Santa Fe w wieku 98 lat. Zgodnie z jej życzeniem po kremacji Hamilton rozsypał jej prochy z najwyższego wzgórza w okolicy. Jej dom i zbiory dały początek muzeum malarki w Santa Fe, od 1998 r. mającym status zabytku narodowego. Artystkę uważa się za najważniejszą z XX-wiecznych twórczyń amerykańskich, podkreślając jej niezależność od wpływu awangardowych kierunków sztuki europejskiej.

Trzecią interesującą artystką, którą chcę przedstawić jest Tamara Łempicka lub Tamara de Lempicka, gdyż w takiej wersji znana jest na Zachodzie. Jest bardziej popularna w Europie i Stanach niż w Polsce, a złożyło się na to wiele przyczyn. Tam też nazywana bywa królową Art Deco, stylu modnego po pierwszej wojnie światowej, stylu komercyjnego, gdyż bardziej kojarzy się ze sztukami stosowanymi i artysty-

cznym rzemiosłem niż malarstwem. Ma w sobie trochę zapożyczeń z awangardowych kierunków początku XX w., ale przerobionych na wystylizowaną estetycznie, dekoracyjną całość.

W czasach reżimu komunistycznego styl krytykowany i pogardzany, utożsamiany ze złym gustem dziś znów modny i na nowo odkrywany.

Tamara urodziła się w Warszawie w 1898 r. w zamożnej rodzinie Gurwicz-Górskich. Ojciec był prawnikiem w firmie francuskiej, matka Malwina prowadziła dom. Jako nastolatka zaczęła symulować chorobę, żeby pod opieką babki wyjeżdżała do Włoch, co było przyjęte w majątnych rodzinach. Zakładano, że klimat śródziemnomorski spowoduje powrót do zdrowia. Zwiedzały Wenecję, Florencję i Rzym. Tamara odkrywa zamiłowanie do sztuki i postanawia malować. Dotknięta decyzją matki o powtórny zamążpójściu wyjeżdża do krewnych do St. Petersburga. Maluje naśladowując malarzy akademickich. Poznaje prawnika Tadeusza Łempickiego spokrewnionego z rodziną Cypriana K. Norwida. Poślubia go w kaplicy Kawalerów Maltańskich.

Przewrót bolszewicki pogrąża Rosję w chaosie. Łempicki zostaje aresztowany za działalność kontrrewolucyjną. Obojgu udaje się zbiec z kraju dzięki pomocy konsula szwedzkiego. Wyjeżdżają do Paryża.

W 1920 r. przychodzi na świat córka Maria

Tamara Łempicka



Krystyna zwana Kizette. Tamara zaczyna uczęszczać na lekcje malarstwa do pracowni kubisty Andre Lhote'a, ale szybko rezygnuje z powodu zawiedzionych oczekiwań. Tadeusz nie jest w stanie utrzymać rodziny, żyją z pomocy bliskich i sprzedawanych dóbr. Tamara zmienia styl swojego malarstwa na modny, estetyzujący, „światowy” z dużym ładunkiem erotyzmu.

Bierze udział w wystawie Salonu d'Automne w 1922r., zostaje zauważona, ma dobre recenzje w prasie. Jej obrazy są malowane w nasyconych barwach, z kubistycznie deformowanymi postaciami, często w seksualnych pozach. Biseksualna artystka jest adorowana przez arystokratów i boheme, jest głośno o jej romansach. Dla czasopisma „Die Dame” maluje przeznaczony na okładkę „Autoportret w zielonym bugatti”, który jest najbardziej znanym jej obrazem.

Wiele lat później Edward Lucie Smith napisze: „Portretowa twórczość Tamary Łempickiej jest bez wątpienia kwintesencją Art Deco, a kultywująca modę i nowoczesność kręgi społeczne lat dwudziestych i trzydziestych oglądamy dziś w szerokiej perspektywie jej oczyma.”

W 1927 r. poznaje piękną Rafaelę, która zostaje jej modelką i kochanką. Rok później poznaje barona Kuffnera, który przenosi ją do pięknego apartamentu zaprojektowanego dla niej przez modnego architekta. Zostaje jego przyjaciółką. Wyjeżdża z nim w podróż do USA. Rozstaje się z mężem, a właściwie on ją opuszcza z powodu jej rozwiązłości. Wraca do Warszawy, występuje o rozwód. Tamara trzykrotnie przyjeżdża do Polski i próbuje zażegnać sytuację. Jednak rozwód się uprawomocnia. Jest rok 1931. Artystka wraca do Paryża, popada w depresję, nie maluje.

W 1933 r. wychodzi za barona, który mając żydowskie korzenie boi się zostawać w Europie. Sprzedaje majątek w Austrii oraz na Węgrzech i razem wyjeżdżają do Ameryki do Los Angeles. Tamara poznaje świat Hollywood, znów pracuje. Niestety, jej obrazy nie cieszą się takim zainteresowaniem jak w Europie. Kuffner namawia Tamarę na wyjazd do Nowego Jorku. Zabierają Kizette, która poznaje tam przyszłego męża,

geologa z Texasu. Nowy Jork nie dostrzega sztuki Łempickiej. Zmienia się moda, króluje abstrakcja. Artystka popada w zapomnienie. Po śmierci męża w 1962 r. przenosi się do córki.

Jednak w latach 70. sytuacja się poprawia. Wystawa retrospektywna w 1973 r. jest ogromnym sukcesem. Aż do śmierci w 1980 r. jej sława rośnie. Zgodnie z życzeniem jej prochy rozsypało nad kraterem wulkanu Popocatepetl w Meksyku, dokąd przeniosła się w ostatnich latach życia.

Jej prace znajdują się dziś w wielu znanych muzeach na świecie i kolekcjach prywatnych zwłaszcza gwiazd filmu i popu. Wielką jej miłośniczką jest Madonna. Na aukcjach w Christie i Sothebys obrazy osiągają bająnskie sumy. W 2004 r. pokazano jej retrospektywną wystawę w Londynie, która cieszyła się ogromnym powodzeniem. W Polsce jest kilkanaście jej prac, których z niewiadomych powodów nie pokazuje się publiczności. W 2008 r. w Muzeum Narodowym w Warszawie otwarto wystawę „Wyprawa w dwudziestolecie”, na której ekspozowano tylko jeden obraz Łempickiej „Kobieta na krześle” z 1927 r. Mam nadzieję, że kiedyś sytuacja się zmieni.

W 2005 r. w Kielcach otwarto Aleję Sław na Skwerze Harcerskim. Umieszczono w niej popiersia różnych artystów: pisarzy, poetów, kompozytorów, malarzy... Wśród 46 znakomitości, obok Chagalla, Picassa, Dunikowskiego, Warhola, Boznańskiej znalazło się popiersie Tamary Łempickiej w słynnej pilotce z zielonego bugatti. Na prostym cokole napis: Tamara Łempicka – malarka.

Każda z opisanych przeze mnie artystek wniosła coś istotnego do sztuki współczesnej od nowatorskich tematów do interesujących doświadczeń warsztatowych. Kiedyś Oskar Wilde napisał, że „nie istnieje nic takiego, czego by sztuka nie mogła wyrazić...”, zatem one wyraziły siebie.

Urszula ŁUKOMSKA
artystka malarka

Kolędujemy wszyscy wraz

Od Bożego Narodzenia aż do końca stycznia trwa okres śpiewania kolęd. Wszyscy lubimy te nastrojowe lub skoczne pieśni mówiące o narodzeniu Bożego Dzieciątka. Tradycją już stało się organizowanie wieczoru kolędowego w śremskim muzeum. Dnia 5 stycznia odbyło się już dziesiąte – jubileuszowe spotkanie. Jak zwykle, organizatorem był Marek Królikowski, który zaprosił swych przyjaciół i znajomych.

Poznania przyjechali członkowie i sympatycy Wielkopolskiego Klubu Przodowników Turystyki Górskiej im. Kazimierza Kantaka, a z Wągrowca, członkowie Oddziału PTTK oraz Klubu Górskiego „Szarotka”. Przyjechał też aż z Gniewu wieloletni przyjaciel Marka – Stanisław Błoszyk wraz z żoną Elżbietą. Po serdecznym przywitaniu zebranych gości, Marek Królikowski zaproponował wspólne śpiewanie kolęd przy akompaniamencie gitar (Witalis Sasiadek i Marek) oraz pianina (Stasiu Błoszyk). Po odśpiewaniu kilku kolęd – aby dać odpocząć gardłom, przedstawiono obrzędy związane ze

świętami Bożego Narodzenia. O historii pasterki, pierwszego i drugiego święta przypomnieli zebranym Aleksandra Jaskuła. Od VI wieku w Rzymie był nakaz odprawiania w pierwszy dzień Bożego Narodzenia aż trzech mszy św.: pasterki w nocy, mszy o świcie i mszy dla dzieci. Do naszych czasów przetrwała pasterka odprawiana o północy. Drugi dzień świąt poświęcony jest św. Szczepanowi – pierwszemu męczennikowi. Jego atrybutami są gałąź palmowa, księga Ewangelii i rzemienie.

Wawrzyn Ławniczak przypomniał tradycje związane z nocą sylwestrową i Nowym Rokiem. Sylwester urodził się w drugiej połowie III wieku w Rzymie. W 314 roku został wybrany papieżem. Zmarł w Rzymie w 335 roku. Jego imię związane jest z Orderem Rycerskim Świętego Sylwestra i nocą sylwestrową. Zwyczaj rozpoczynania nowego roku od pierwszego stycznia wprowadził Juliusz Cezar. Pierwszym w historii rokiem rozpoczętym pierwszego stycznia był rok

Stanisława Mozgawa, Elżbieta Błoszyk, Urszula Ciesielska i Stanisław Błoszyk podczas wykonywania kolęd



708 – rok od założenia miasta Rzym, według obecnie stosowanej rachuby czasu – 46 rok p.n.e.

Po tych ciekawostkach historycznych panowie Witalis i Marek chwycili za gitary a w murach muzeum znów zabrzmiały kolędy i pastorałki. Mniej znane, bardzo liryczne kolędy zaśpiewały Stanisława Mozgawa – sopran i Urszula Ciesielska – alt, którym towarzyszył na pianinie Stanisław Błoszyk.

Czesława Witkowiak przybliżyła postaci, które przybyły do Betlejem złożyć pokłon narodzonemu Dzieciątku. Słynny podróżnik Marco Polo, będąc na Dalekim Wschodzie, zapisał w swoim dzienniku:

„Jest w Persji miasto Savah, z którego wyszli trzech Magowie, kiedy udali się aby pokłon złożyć Jezusowi Chrystusowi. W mieście tym znajdują się trzy wspaniałe i potężne grobowce, w których zostali złożeni Trzej Magowie. Ciała ich są dotąd pięknie zachowane cało tak, że nawet można oglądać ich włosy i brody.”

Na pamiątkę pokłonu Mędrców Wschodu, Kościół Katolicki obchodzi święto w dniu 6 stycznia zwane świętem Objawienia Pańskiego. Liczbę mędrców w ilości trzech, Kościół najprawdopodobniej ustalił na podstawie przekazu, iż Jezusowi złożono trzy dary w postaci mirry, kadzidła i złota. Z przekazów niebiblijnych dowiadujemy się, że Magowie z Betlejem

Nina Szmyt prezentuje album Elżbiety Dominiak (z lewej), po prawej Marek Królikowski



powrócili do swych krain, mieli przyjąć chrzest, mieli być nawet wyświęceni na biskupów i ponieść męczeńską śmierć. Pojawienie się Gwiazdy Betlejemskiej różnie jest tłumaczone. Johannes Kepler twierdził, że Gwiazda betlejemaska to koniunkcja trzech planet – Saturna, Jowisza i Marsa, która przypadła akurat wtedy. Tak też twierdzili inni uczeni. Jednak żadnemu z nich nie udało się wyjaśnić, w jaki sposób planety mogły się poruszać po niebie, prowadząc mędrców do Betlejem. Mateusz w swej ewangelii mówi, że była to gwiazda cudowna jak też cudowne są Święta Bożego Narodzenia, o czym nikt nie musi nas przekonywać.

Po tych ciekawych, tak bliskich naszemu sercu rozważaniach, Stanisława Mozgawa, Elżbieta Błoszyk i Urszula Ciesielska zaśpiewały dwie kolędy przy akompaniamencie Stanisława Błoszyka. Basia Jahns zaprosiła zebranych na herbatę, kawę i pyszne ciasto. Po krótkiej przerwie na sali zrobiło się bardziej poetycko, a to za przyczyną dwóch pań zaproszonych również przez Marka. Jedną z nich to Nina Szmyt, której nie trzeba przedstawiać, bo znającą śremianie. Druga to Elżbieta Dominiak, absolwentka Wydziału Budownictwa Lądowego Politechniki Poznańskiej. Oprócz życia zawodowego, jej największą pasją są wędrowki po tatrzańskich szlakach i utrwalanie ich pięknych krajobrazów na zdjęciach. Od ośmiu lat towarzyszy jako fotoreporter ważniejszym wydarzeniom Polskiego Towarzystwa Lekarskiego. Zarząd Główny PTL przyznał jej tytuł przyjaciela Towarzystwa. Elżbieta Dominiak zaprezentowała swą książkę pt.: „Moja droga”. Zawiera ona piękne zdjęcia zrobione podczas wędrowek po górach i nie tylko. Zdjęciom towarzyszą wiersze Niny Szmyt. Obrazy i poezja wzajemnie się uzupełniają. Podczas prezentacji albumu zebrani przez cały czas mogli podziwiać na ekranie piękne zdjęcia zrobione przez Elżbietę Dominiak. Ale wszystko co piękne, musi się kiedyś skończyć tak więc i wieczór w muzeum dobiegł końca. Wszyscy obecni jak zawsze obiecali sobie, że za rok znów się spotkają.

Urszula CIESIELSKA

Do artykułu wykorzystałam materiały Marka Królikowskiego

Z myślą o 8 marca...

Jako kobieta zawsze lubiłam to święto... Pomijam historyczne tło wydarzenia – zmagania feministek z prawem i obyczajami, naturalną lub udawaną uprzejmość kolegów w pracy, akademie i goździki, których długo nie mogłam zaakceptować w prywatnych bukietach. Lecz ogólnie było super: spotkania z koleżankami, ciasto, kawa i pogaduszki – dziś też to lubimy!

Tym razem jednak postanowiłam pokazać jakie są efekty naszej pracy i dzięki uprzejmości Muzeum Śremskiego organizuję wystawę prac malarskich 10 znanych mi kobiet, z którymi często maluję. Cztery z nich uczęszczają od kilku lat na moje sobotnie zajęcia w Śremskim Ośrodku Kultury, pozostałe przychodziły do pracowni, gdy jeszcze ją miałam... Teraz spotykamy się w prywatnych domach i wyjeżdżamy na plenery.

Malujemy to, co której w duszy gra... pejzaże, portrety, kompozycje figuratywne, czasem abstrakcje. Pracujemy głównie w technice olejnej i akrylu choć Mirka, Agnieszka i Ilona chętniej rysują i to zarówno ołówkiem, węglem jak i pastelami.

Każda ma też ulubione tematy. Nie chciałabym zasufladkowszczywać, ale gdybym miała jednym zdaniem określić preferencje powiedziałabym, że: Magda najchętniej maluje minimalistyczne pejzaże, Mariola – martwe natury i kwiaty, Ola – kobiety wampy, Ewa – kobiety romantyczne z pięknymi rekwizytami, Ewa J., Wanda i Iza – kompozycje tematyczne... Ja preferuję figuratywne układy z mnogością postaci, pokazywane w cyklach nieco ilustracyjnych. Oczywiście wszystkie mamy swoje ulubione gamy barwne. Chcę jeszcze nadmienić, że część pań skończyła różnego typu szkoły artystyczne, a pozostałe pracują w innych zawodach...

Są wśród nas lekarki, wykładowca uniwersytecki i kobiety biznesu. Dla wszystkich malarstwo jest cudownym hobby, dla niektórych zaraźliwą pasją.

Serdecznie zapraszam na naszą „babską” wystawę „Niedomknięty krąg...” 10+1, 12 lutego o 18.00 do Galerii Muzeum Śremskiego.

Urszula ŁUKOMSKA
artystka malarka



Okiem belfra - Cyberświat

Spoglądam na moich uczniów i zadaję sobie pytanie: w jakim świecie przyszło im żyć? Widzę młodych ludzi, którzy być może zapomnieli zabrać drugiego śniadania do szkoły, ale na pewno nie wyszli z domu bez telefonu. Dostrzegam chłopców i dziewczęta, dla których korzystanie z katalogu podręcznego w bibliotece to zadanie niezwykle trudne, ale na pewno świetnie poradzą sobie z odnalezieniem każdej poszukiwanej strony w internecie. Jaki jest ich świat? Uboższy o sprawy, które dla ich rodziców były standardem, czy może znacznie bogatszy, szerszy, większy?

Dla tych młodych ludzi świat nie ma fizycznych granic. Na jedno kliknięcie, na wyciągnięcie dłoni do komputerowej myszki mają cały świat. Czas i przestrzeń zyskują dla nich zupełnie inny wymiar. Pokonują tysiące kilometrów, nie wychodząc z domu. Poznają kultury, których owoców nie znali ich rodzice. Siadając przed monitorem komputera, stają jednocześnie przed bramą na świat. Mogą pełnymi garściami czerpać z nieprzebranych bogactw kultury globalnej. Mogą poznać tajemnice, jakie kryje w sobie ludzkość. Mogą znaleźć odpowiedź na wiele nurtujących ich pytań. Mogą zapomnieć o barierach kulturowych, językowych, przestrzennych. Mogą być wszędzie, widzieć wszędzie.

A czego nie mogą? O co uboższy jest ich świat? Wydaje się, że przechodząc przez wirtualną bramę, zapominają o tym, co tu i teraz. Gubią w pośpiechu i chaosie to, co nieuchwytnie, tajemnicze, choć tuż obok nas – poczucie bliskości z drugim człowiekiem. Stają się obywatelami globalnej wioski, a jednocześnie zyskują status obcego w rzeczywistym, małym świecie. Tracą kontakt z najbliższymi, nie potrafią podejmować relacji bezpośrednich, boją się tak trudnego kontaktu, gdy trzeba drugiemu

człowiekowi spojrzeć prosto w oczy i w „realu” nazwać uczucia.

Jakiego wyboru dokonać? Żyć tu i teraz – w naszym małym „realu”, czy wypłynąć na szerokie wody cyberprzestrzeni? A może nie trzeba dokonywać radykalnych wyborów? Może można żyć i tu i tu? Jak? Rozsądnie. I to nasze zadanie – nauczyć młodych ludzi umiejętnie przekraczać bramy cyberświata ze świadomością, że tylko w realnej przestrzeni istnieją realne uczucia, prawdziwi ludzie, rzeczywiste relacje. Mądrze wykorzystana cyberprzestrzeń to skarbnica. Mądry człowiek to ten, który potrafi żyć w prawdziwym świecie.

Katarzyna GRZEGORCZYK



Śremski Ośrodek Kultury

63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 77
tel. 61 2835904, fax 61 2810081
www.sok-srem.pl
e-mail: biuro@sok-srem.pl

PASJONACI – Ocalić od zapomnienia
7 lutego 2013, godz. 17.00

- kinoteatr Słonko

Kolejne spotkanie, kolejni znani artyści. Tym razem przybliżymy Państwu życie i twórczość **Krzysztofa Klenczona**, polskiego kompozytora, wokalisty i gitarzysty muzyki rock'owej. Zaprezentowaliśmy Państwu materiały archiwalne, zdjęcia oraz wywiady, całość prowadził Zbigniew Hoppe.

PECTUS – koncert zespołu
10 lutego 2013, godz. 17.00

- hala Bazar

Zespół powstał w 2005 roku w Rzeszowie. Muzycy grający i śpiewający w zespole są finalistami 44. Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej Debiuty Opole 2007. Zespół na swoim koncercie ma promocyjny mini-album nagrany w 2007 roku, na którym znalazło się 5 autorskich utworów oraz dwie płyty Pectus (2009) i Stos

Praw (2010). Płyta z 2009 roku uzyskała status złotej. W maju 2012 roku zespół w nowym składzie nagrał utwór „Dla Ciebie”.

PASJONACI – Ocalić od zapomnienia
7 marca 2013, godz. 17.00

- kinoteatr Słonko

Spotkanie będzie dotyczyło historii oraz przebiegu kariery polskiego zespołu muzycznego Czerwone Gitary.

KONCERT ALVON JOHNSON oraz
ZESPÓŁU ŁUKASZA GORCZYCY
12 marca 2013

- kinoteatr Słonko, przedsprzedaż biletów 40 zł
Twórczość Alvona Johnsona od początku inspirowana jest muzyką gitarową sław takich jak: Montgomery, Andre Segovia, Charlie Christian i oczywiście Jimi Hendrix. Artysta występował na scenach amerykańskich oraz na arenie międzynarodowej: w Malesji, Rosji,





Chinach, Francji, Włoszech, Japonii, Nowej Zelandii, Kanadzie, Australii.

**KONCERT „ZACZAROWANY ŚWIAT
OPERETKI I MUSICALI”** – soliści i tancerze
TEATRU MUZYCZNEGO w Poznaniu

23 marca 2013, godz. 17.00

- hala Bazar, bilet ulgowy – 20 zł, normalny – 25 zł, rezerwacje w ŚOK

KABARET ANI MRU MRU

13 kwietnia 2013

- hala Bazar, bilety w cenie 50 zł

**KONCERT – DOM O ZIELONYCH
PROGACH**

18 kwietnia 2013, godz. 19.00

bilety – 30 zł, rezerwacje w ŚOK.



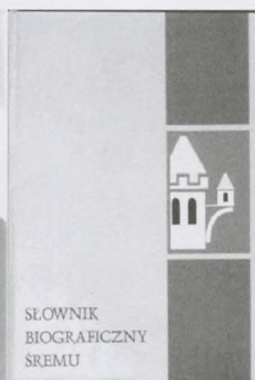
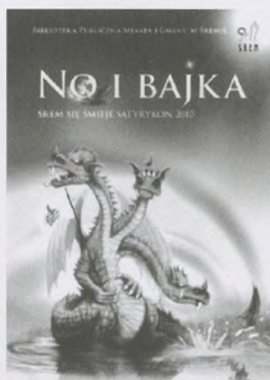
Działalność wydawnicza Biblioteki Publicznej w Śremie

Opracowywanie, gromadzenie i udostępnianie materiałów bibliotecznych o własnym regionie oraz dokumentacja jego dorobku kulturalnego, naukowego i gospodarczego jest jednym z podstawowych zadań bibliotek publicznych. Wiele z nich, pełniąc funkcję ośrodka informacji biblioteczno-bibliograficznej, opracowuje i udostępnia (często już w formie cyfrowej) bibliografię regionalną, a także redaguje inne materiały informacyjne o charakterze regionalnym. Niektóre biblioteki publiczne podejmują szeroką działalność wydawniczą o charakterze popularno-naukowym.

Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy w Śremie może pochwalić się już sporym dorobkiem wydawniczym. Oprócz ulotnych bibliotecznych publikacji, takich jak: kalendarze, zakładki, broszury, informatory – są także większe wydawnictwa, np. *Śremski Kurier Biblioteczny* (okolicznościowa gazeta wydawana co roku z okazji organizowanej przez bibliotekę imprezy plenerowej *Promenada jak za dawnych lat*).

Istotą działalności wydawniczej biblioteki jest jednak publikacja książek. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych podejmowane były niewielkie próby edytorskie. We współpracy ze Szkołą Podstawową nr 5 im. Arkadego Fiedlera w Śremie ukazywały się skromne tomiki młodzieżowej twórczości poetyckiej.

W wydawanych przez bibliotekę pozycjach poezja zajmuje szczególne miejsce, głównie dzięki cieszącemu się ogromnym zainteresowaniem wśród dzieci i młodzieży *Konkursowi Jednego Wiersza*. W roku 2012 ukazał się już siódmy pokonkursowy zbiorek. Ponadto, także ze względu na organizowany co roku Śremski Wernisaż Poetycki, wydawane po wernisażu tomiki zawierają teksty opowiadające o Śremie widzianym oczami poetów. Pokonkursowymi książeczkami, zawierającymi utwory prezentowane podczas satyrykonu *Śrem się śmieje*, są bogato ilustrowane *Fraszki o Śremie* wydane w 2009 roku oraz *No i bajka* z 2010 roku.



Jednak większość wydawniczych przedsięwzięć biblioteki ma na celu pogłębianie edukacji regionalnej. Chcemy by czytelnik otrzymał bogate źródło wiedzy o Śremie oraz naszej kulturze i tradycji. Temu służyć mają wydawane książki popularno-naukowe. Wszystko zaczęło się od publikacji, w roku 2008, *Słownika biograficznego Śremu*. Było to wówczas największe zrealizowane przedsięwzięcie wydawnicze biblioteki. Zamiarem zarówno autorów, jak i wydawcy było przedstawienie – nie tylko śremianom – tych obywateli naszego miasta, którzy wyróżnili się działalnością zawodową oraz społeczną, wnosząc ogromny wkład w jego rozwój i kształtując jego wizerunek. Inicjatorem wydania słownika był historyk Adam Podsiadły, który przy współpracy z powołaną radą redakcyjną skupił 43 współautorów ponad 300 haseł biograficznych. Wydawnictwo sfinansowane zostało ze środków gminy Śrem.

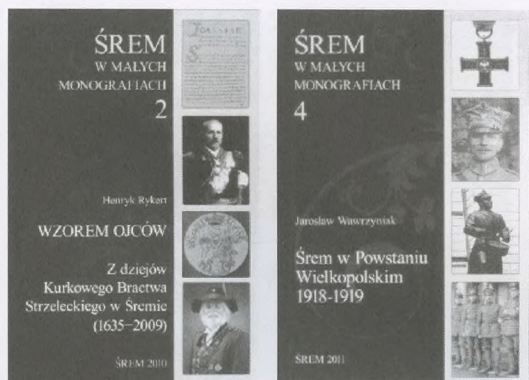
Przy okazji prac redakcyjnych toczyły się liczne rozmowy o potrzebie publikowania drukiem wydawnictw tematycznie związanych z regionem. Chodziło głównie o opracowania historyczne, bowiem wiele ważnych wydarzeń wymagało ponownego zbadania i omówienia, a inne natomiast pozostawały zupełnie nieodkryte. Tak też zrodził się pomysł serii wydawniczej pod nazwą *Śrem w małych monografiach*. Przy bibliotece powstała pracownia biograficzna oraz rada redakcyjna

w składzie: Jerzy Kondras – przewodniczący, Ewa Bąk – sekretarz, Dorota Gandecka, Adam Lewandowski, Danuta Płygawko i Adam Podsiadły – członkowie. Rada planuje i koordynuje prace związane z kolejnymi książkami serii. Z końcem 2009 roku ukazała się, rozpoczynająca serię, książka Danuty Płygawko pt. *Księgarze i drukarze w Śremie 1869-2009*. W roku 2010 ukazały się kolejne pozycje: Henryka Rykerta *Wzorem ojców. Z dziejów Kurkowego Bractwa Strzeleckiego w Śremie (1635-2009)* oraz Adama Podsiadłego *Śremianin w rektorskiej tocie Heliodor Święcicki 1854-1923. Lekarz, naukowiec, profesor Uniwersytetu Poznańskiego*. Rok 2011 przyniósł książkę Jarosława Wawrzyniaka *Śrem w Powstaniu Wielkopolskim 1918-1919*.

W 2012 roku biblioteka współfinansowała wydanie książki poetyckiej pt. *Znak wszechświata. Poeci w Śremie* pod redakcją Dariusza Tomasza Lebiody i Zbigniewa Gordzieja. W tomiku znalazły się utwory i biogramy znanych poetów, których gościliśmy w Śremie na spotkaniach autorskich. W 2013 roku, w serii *Śrem w małych monografiach*, ukazały się dwie książki: *Życie muzyczne Śremu* oraz *100 lat harcerstwa w Śremie*. Warto też podkreślić, że trwają prace redakcyjne nad suplementem *Słownika biograficznego Śremu*. Wydanie drugiej części książki znalazło się w planach wydawniczych biblioteki na lata 2014/2015.

Wszelkie prace wydawnicze pochłaniają wiele czasu oraz wymagają znalezienia odpowiednich autorów. Potrzebne są także nakłady finansowe, które co roku zapewnia Urząd Miejski w Śremie. Działalność ta daje bibliotece wymierne efekty w postaci promocji placówki także na terenie kraju, a nawet poza jego granicami. A przede wszystkim skupiamy wokół biblioteki ludzi kreatywnych i zaangażowanych, dzięki którym wspólnie oddajemy czytelnikom rzetelne opracowanie sygnowane nazwą śremskiej biblioteki.

Ewa BĄK





63-100 Śrem
ul. Kilińskiego 2
tel. 61 2835467, fax 61 2835467
www.biblioteka.srem.pl
e-mail: info@biblioteka.srem.pl

CZY TU, CZY TAM – CZYTAM!

Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy w Śremie w 2013 roku realizuje całoroczny projekt p.n. *Czy tu, czy tam – CZYTAM!*, którego celem jest promowanie wartościowej literatury i czytelnictwa wśród dzieci i młodzieży. Projekt obejmuje działania, które mają rozbudzić pasję i potrzeby czytelnicze poprzez różnorodne formy kulturalne – głośne czytanie, konkursy (plastyczne i czytelnicze), warsztaty dla dzieci na podstawie książki „Uczucia, co to takiego?”, spotkania i spektakle teatralne, spotkania z autorami, gra terenowa. Kulminacyjnym punktem zadania będą happeningi czytelnicze oraz III Piknik Kolejowy pt. „Pociąg do książek”. Wniosek o dofinansowanie naszego projektu został złożony do Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

BIBLIOTECZNY KLUB WOLONTARIUSZA

Od listopada 2012 roku działa przy bibliotece Biblioteczny Klub Wolontariusza, którego celem jest szeroko pojęta pomoc świadczona drugiemu człowiekowi oraz wszelkie działania kulturowe realizowane przy współpracy z biblioteką na rzecz lokalnego środowiska. Wolontar-

iusze pod opieką Marii Biernat zamierzają organizować bajeczne spotkania dla dzieci, młodzieży i seniorów, edukować przez zabawę, pomagać w obsłudze komputera, czy w nauce języków obcych. Klub jest otwarty na współpracę z indywidualnymi osobami oraz różnymi organizacjami. Chce także tworzyć swoje autorskie projekty kulturalno-czytelnicze. Zapraszamy do współpracy!

KSIĄŻKI NA TELEFON

Biblioteczny Klub Wolontariusza proponuje usługę biblioteczną pn. „książka na telefon”. Usługa kierowana jest do tych mieszkańców miasta, którzy lubią czytać i kochają książki, a z powodów zdrowotnych nie mogą osobiście dotrzeć do biblioteki. W każdą środę tygodnia w godz. od 8–11, pod numerami telefonicznymi 61 28 35 467 i 61 28 33 448 przyjmowane są zgłoszenia od osób zainteresowanych dostarczaniem im książek do domu. Dodatkowo wolontariusze oferują chęć czytania lektur osobom obłożnie chorym.

KONKURS BOŻONARODZENIOWY

10 stycznia 2013 - odbył się Konkurs Pięknego



Czytania Poezji i Prozy Bożonarodzeniowej. Uczestniczyło w nim 7 uczniów z Gimnazjum nr 2 w Śremie i z Książa Wlkp. Komisja konkursowa w składzie: Wiesława Grobelna, Małgorzata Paś i Elżbieta Matuszczak, po wysłuchaniu wszystkich uczestników, przyznała następujące lokaty: I - Marice Cebulskiej, II - Małgorzacie Nawrot, III - Agnieszce Wesołek i Kamili Kalinowskiej. Laureatki I i II miejsca otrzymały dodatkowe nagrody przyznane przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Śremskiej. Organizatorami konkursu była Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy oraz Gimnazjum nr 2 w Śremie.

FERYJNE PORANKI

15 i 16 stycznia 2013 – biblioteczni wolontariusze zorganizowali dwa feryjne spotkania dla najmłodszych. Poranki rozpoczynały się teatralną prezentacją bajki o kotku Okruszku a zakończyły wspólnymi tańcami i pioskami. Dzieci obejrzały także kolekcję masek gipsowych, wykonanych przez młodzież i dowiedziały się o roli maski w zabawach karnawałowych. Pod koniec spotkania każdy maluch wspólnie z wolontariuszem lub opiekunem wykonał swoją maskę karnawałową

AKADEMIA RYCERSKA

14, 15, 17 stycznia 2013 - wszystkie filie biblioteki odwiedzał rycerz wraz z damą dworu (animatorzy grupy „Fun Faktoria”), którzy na chwilę przenosili widzów do czasów średniowiecza. Przedstawili dzieciom historię rycerstwa, pokazywali wiele rycerskich rekwizytów – zbroję, hełmy, miecze, kusze, oszczepy, hełmy, stroje... Każdy mógł przymierzyć i dotknąć rekwizytów, a także stoczyć pojedynek z rycerzem bądź wziąć udział w rycerskich konkurencjach

DLA BABCI I DZIADKA

17 stycznia 2013 - w filii biblioteki w Pyszącej dzieci przygotowywały upominki dla Babci i Dziadka. Były to słodkie misiaczki. Każda Babcia i każdy Dziadek z pewnością ucieszy się z takiego upominku od serca.

BALIK KARNAWAŁOWY

23 stycznia 2013 – w filii biblioteki w Błociszewie odbył się balik dla dzieci. Na zabawę

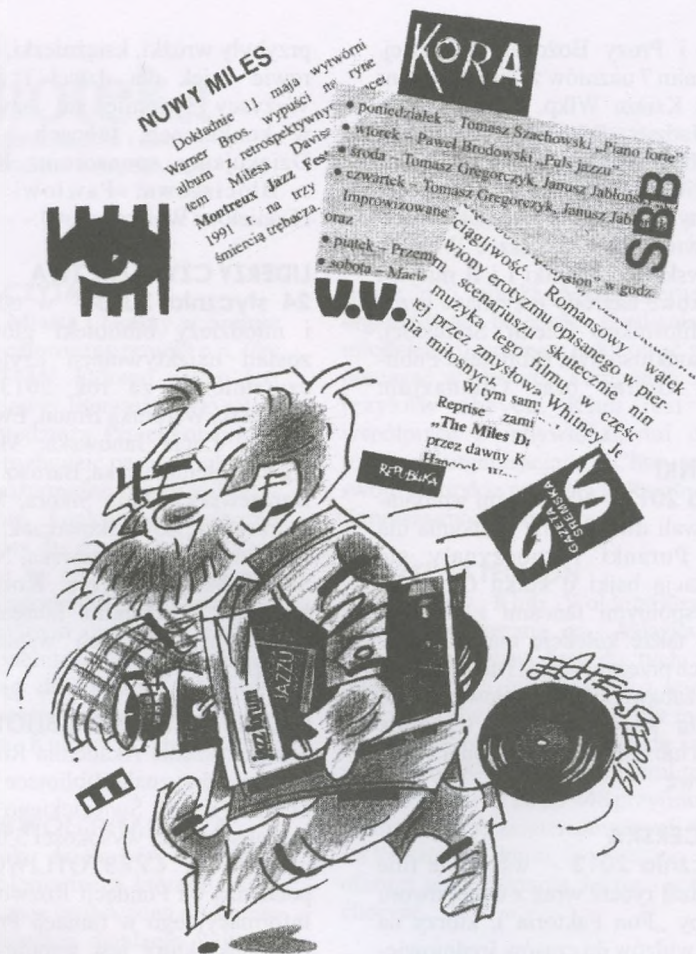
przybyły wróżki, księżniczki, królowny, bohaterowie bajek dla dzieci i różne zwierzątka. Wszyscy świetnie się bawili uczestnicząc w konkursach, tańcach i pokazie mody. Dziękujemy sponsorom: Radzie Sołeckiej z Błociszewa, Pawłowi Piotrowskiemu i Danielowi Wolarczykowi.

LIDERZY CZYTELNICTWA

24 stycznia 2013 – w oddziale dla dzieci i młodzieży biblioteki głównej nagrodzeni zostali najaktywniejsi czytelnicy. Liderami czytelnictwa za rok 2013 zostali: Nadia Równiak, Weronika Braun, Ewa Sznura, Bartosz Sikora, Łucja Janowska, Marta Kalinowska, Agata Gołembiewska, Bartosz Piskowy, Natalia Karczevska, Marta Sikora, Martyna Józefiak, Jędrzej Bąk, Zofia Skotarczak, Marta Mały, Anna Janicka, Julia Kubiszewska, Nina Bąk, Patrycja Senftleben, Patrycja Koralewska, Laura Kardasz. Wszystkim laureatom gratulujemy i życzymy dalszych wspaniałych przygód z książką.

GRANT „AKTYWNA BIBLIOTEKA”

Stowarzyszenie Akademii Rozwoju Filantropii w Polsce przyznała Bibliotece Publicznej Miasta i Gminy im. H. Świecickiego w Śremie dotację w maksymalnej wysokości 5.000zł na realizację projektu pt. CZĘSTOTLIWOŚĆ K... Środki pochodzą od Fundacji Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego w ramach Programu Rozwoju Bibliotek, który jest wspólnym przedsięwzięciem Fundacji Billa i Melindy Gates oraz Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności. Projekt realizowany będzie do końca maja 2013 roku. Zakłada on integrację wielopokoleniową oraz aktywizację społeczności do twórczego spędzania czasu wolnego, ale głównie skierowany jest do śremskich seniorów. Ma stanowić zachętę do korzystania z nowych technologii oraz ułatwić kontakt z literaturą osobom, które nie mogą samodzielnie dotrzeć do biblioteki, co dzięki dofinansowaniu, ułatwi nowa oferta biblioteki pozwalająca na udostępnianie czytników e-booków. Koordynatorem projektu jest kustosz Lidia Tomczak.



Zbigniew Hoppe

Meloman, prezydent

Gazeta Śremska

siedziba redakcji - Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. Mickiewicza 89, tel. 61 2835938
e-mail: muzeum@srem.pl www.muzeum.srem.pl

Wydawca:

Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. Mickiewicza 89

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Barbara JAHNS (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korektorka)

Projekt okładki i układu typograficznego

Patrycja ŁUKOMSKA

Okładka:

Aranżacja i fotografia - Szymon Majewski

Skład i druk:

Zakład Poligraficzny Stanisław Tomczak
tel. 61 2841208 www.drukarniasrem.pl

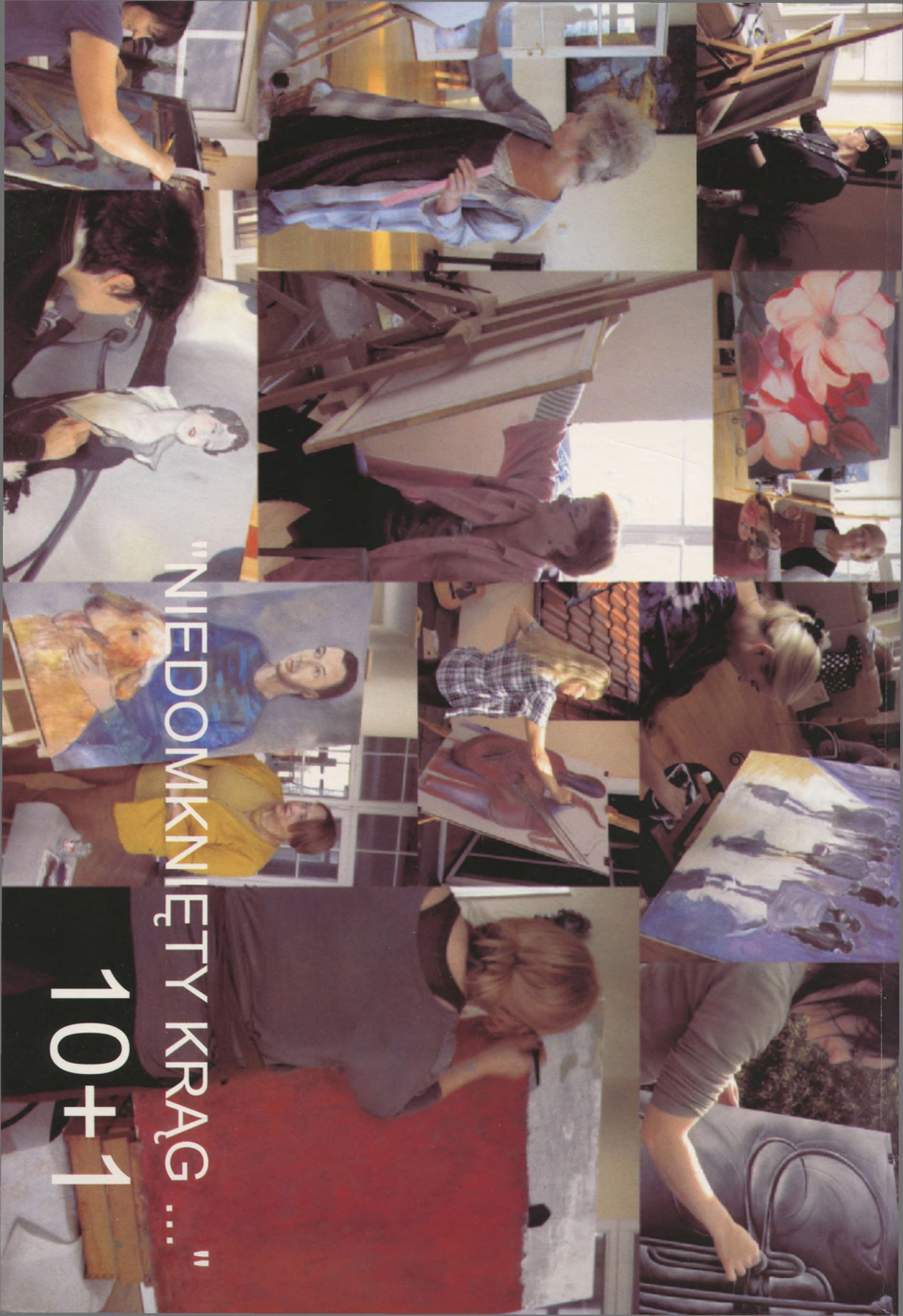


ul. Stary Rynek
FOTOGRAFIA ZE ZBIORÓW MUZEUM ŚREMSKIEGO

DOKUMENTY.



FOTOGRAFIA WSPÓŁCZESNA, AUTOR: SZYMON MAJEWSKI



"NEDOMKNIĘTY KRĄG ..."

10+1